

MAKOTO SHINKAI
NARUKI NAGAKAWA

Ona
i jej kot



SPRJA Z ŻURAWIEM

bo.
wiem

MAKOTO SHINKAI
NARUKI NAGAKAWA

Ona i jej kot

Tłumaczenie
z japońskiego
Dariusz Latoś



bo.
wiem

Seria z Żurawiem

Projekt okładki
Małgorzata Flis

Tytuł oryginału: *彼女と彼女の猫*
Kanojo to kanojo no neko

Autor historii: Makoto Shinkai
Autor adaptacji literackiej: Naruki Nagakawa

Original Japanese edition published by KANZEN CORP., Tokyo.
Polish language translation rights arranged with KANZEN CORP. through The English Agency (Japan) Ltd. and New River Literary Ltd.

SHE AND HER CAT by Makoto Shinkai and Naruki Nagakawa

© 2013 Makoto Shinkai/CoMix Wave Films Inc.

© 2013 Naruki Nagakawa

All rights reserved.

© Copyright for the Polish Translation and Edition by Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Wydanie I, Kraków 2022

Niniejsza książka stanowi utwór chroniony na podstawie ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Prawami do tego utworu dysponuje Wydawca – Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bez zgody Wydawcy niedopuszczalne jest kopiowanie, rozpowszechnianie lub inne korzystanie z niniejszej książki w całości lub z jej fragmentów z wyjątkiem dozwolonego użytku osobistego lub publicznego.

ISBN 978-83-233-5076-7

ISBN 978-83-233-7295-0 (e-book)

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków
tel. 12 663 23 80
Dystrybucja: tel. 12 631 01 97
tel. kom. 506 006 674, e-mail: sprzedaz@wuj.pl
Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

www.wuj.pl

ROZDZIAŁ I

Morze słów

1

Dzień był deszczowy, niedawno przyszła wiosna.

Padała na mnie mżawka podobna do mgły. Leżałem na skraju chodnika. Ludzie przechodzący obok oddalali się pospiesznie, rzucając na mnie tylko krótkie spojrzenia. Szybko zabrakło mi sił, by trzymać głowę w górze. Jednym okiem patrzyłem na ołowiane niebo.

Było bardzo cicho, tylko dudnienie przejeżdżających pociągów rozbrzmiewało w oddali jak grzmoty. Wagony sunęły po wiadukcie z potężnym, miarowym stukotem.

Fascynował mnie ten dźwięk.

Skoro moje ciało napędzał słabowity puls, który słyszałem gdzieś w głębi, jak ogromną rzecz musiał wprawiać w ruch ten odgłos? To pewnie serce całego świata. Wielkiego, silnego, idealnego świata. Ja nie mogłem nawet stać się jego częścią.

Drobne krople deszczu opadały bezgłośnie, wszystkie w takim samym tempie. Leżałem z policzkiem przyciśniętym do dna kartonowego pudła, ulegając złudzeniu, jakbym powoli unosił się w powietrze. Wzlatywałem ku niebu i dalej, w bezkres. Już niedługo rozlegnie się suchy trzask, wraz z którym zostaną odcięty od tego świata.

Na początku łączyła mnie z nim moja mama. Była ciepła i dobra. Dawała mi wszystko, czego potrzebowałem.

Ale jej już nie było.

Nie pamiętałem, dlaczego tak się stało ani czemu leżę w kartonowym pudle wystawiony na deszcz. My nie potrafimy zapamiętać wszystkiego. Zapisujemy w pamięci tylko naprawdę ważne wspomnienia. Ja takich nie miałem wcale.

Deszcz padał delikatnie. Moje puste ciało powoli, powolutku wznosiło się do ołowianego nieba. Zamknąłem oczy i czekałem na ten ostateczny moment, gdy odejdę na zawsze.

Stukot kół jakby przybrał na sile. Uniosłem powieki – miałem przed sobą twarz kobiety. Patrzyła na mnie z góry, trzymając nad głową wielki

przezroczysty parasol. Długo się tak przyglądała? Nie odrywała wzroku, kucając z brodą opartą na kolanach. Miała opadające na czoło długie włosy. Kopuła parasola odbijała dźwięki przejeżdżających pociągów, dlatego wydawały się głośniejsze.

I jej włosy, i moje ciało przesiąkły wilgocią, powietrze wypełniał przyjemny zapach deszczu.

Z trudem uniosłem głowę i popatrzyłem na kobietę obojgiem oczu. Jej źrenice drżały. Na mgnienie odwróciła wzrok, po czym utkwiała we mnie spojrzenie jeszcze mocniej, jakby podjęła jakąś decyzję. Przez chwilę wpatrywaliśmy się tak w siebie nawzajem.

Ziemia bezgłośnie kręciła się wokół własnej osi, a nasze ciała powoli oddawały ciepło otaczającemu nas światu.

– Może pójdziesz ze mną?

Poczułem zimne jak lód opuszki jej palców. Bez trudu uniosła mnie i wzięła na ręce. Z góry kartonowe pudło wyglądało na zaskakująco małe. Kobieta włożyła mnie między kurtkę a sweter. Było tam niewiarygodnie ciepło. Słyszałem jej tętno. Zaczęła iść, stukot pociągów wyprzedził nas i poniósł się dalej. Nasze serca i serce świata zaczęły bić w jednym rytmie.

Tamtego dnia mnie przygarnęła. Zostałem jej kotem.



Społeczeństwo jest zbudowane ze słów.

Zacząłam tak myśleć, gdy skończyłam naukę i pierwszy raz poszłam do pracy. „Zrób to”, „Przekaż tamto panu jakiemuś tam”. Praca posuwa się do przodu za sprawą rzucanych niedbale, ulotnych zdań. Wszyscy uznają ten fakt za coś oczywistego, ale dla mnie to prawdziwy cud.

Lubię komunikację za pomocą dokumentów i pism, bo w ten sposób zostaje namacalny, fizyczny ślad. Dla innych to uciążliwa formalność, a ja chętnie ich w niej wyręczam, dlatego w sekretariacie bardzo mnie cenią. Łatwiej mi pracować z papierami niż z ludźmi. Nie jestem najlepsza w rozmawianiu, już po chwili nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Za to moi znajomi gadają na okrągło. Tamaki, przyjaciółka jeszcze ze szkoły policealnej, sypie żartami jak z rękawa, zawsze pękam ze śmiechu, kiedy się z nią spotykam. Ze scen, które we mnie nie wzbudzają zupełnie niczego, ona

wyciąga coraz to nowsze interesujące niuanse. Zupełnie jakby widziała coś, czego ja nie potrafię dostrzec. Tamaki jest niesamowita.

Lubię gadatliwych ludzi.

Mój chłopak ma na imię Nobu. Jest rok młodszy i bardzo, bardzo dużo mówi. O swojej pracy w agencji ubezpieczeniowej, o filmach SF albo muzyce elektronicznej. I o dawnych chińskich wojnach. Opowiada mi o wielu różnych rzeczach. Dzięki temu znam nazwiska chińskich generałów i sporo wiem o systemie ubezpieczeń.

Tamaki doskonale ubiera w słowa to, co dostrzega w otaczającym ją świecie, a Nobu świetnie potrafi przekazać wszystko, co zgromadził we własnej głowie. Ja nie umiem żadnej z tych rzeczy.

Gdy przychodzi wiosna, przypominam sobie, jak pierwszy raz wynajmowałam mieszkanie. To wspomnienie nachodzi mnie szczególnie w deszczowe dni, takie jak ten. Sama obeszłam wtedy biura nieruchomości, a następnie zawarłam umowę, niepewnie przybijając pieczętkę z nazwiskiem¹. Nigdy wcześniej nie żyłam w pojedynkę. W dniu przeprowadzki padało dokładnie jak dzisiaj. Tamaki przysła mi pomoc wraz z kolegą z niższego rocznika, którym był właśnie Nobu. Wspólnie rozpakowaliśmy moje rzeczy, poskręcaliśmy półki, a potem zjedliśmy obiad w knajpce niedaleko. Cała ta sytuacja – przyjaciółka i nowo poznany chłopak pomagają w przeprowadzce, posiłek we trójkę – była dla mnie zupełnie nierzeczywista, jak sceny wyjęte z serialu. Nie potrafiłam wyrazić, co czuję.

¹ W Japonii pieczętki powszechnie używa się zamiast podpisu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

– Przypominają się szkolne czasy, prawda? – powiedziała Tamaki.

Nobu się roześmiał.

Wtedy zrozumiałam, także siląc się na uśmiech, że większość ludzi miała takie rzeczy już dawno za sobą. Drobnostka w rodzaju samodzielnego mieszkania koniec końców niczego w człowieku nie zmienia.

Jakiś czas po przeprowadzce Nobu zawitał do mnie w pojedynkę.

W mojej pralce rozszczelnił się wtedy zawór, z miejsca podłączenia węża często ciekła woda. Poskarżyłam się Tamaki, a ona widocznie poprosiła kolegę, żeby do mnie przyszedł. Myślałam, że to ona wpadła w odwiedzin, więc kiedy w drzwiach zobaczyłam właśnie jego, byłam trochę zdezorientowana. Nobu kupił zawczasu różne rzeczy w markecie

budowlanym i szybko uporał się z usterką. Nie wiedziałam nawet, że po każdym praniu trzeba zakręcać dopływ wody.

„Ale byłabym szczęśliwa, mając takiego mężczyznę zawsze przy sobie” – pomyślałam wtedy, po czym powiedziałam mu o tym z łatwością, która zaskoczyła nawet mnie samą.

Nigdy wcześniej nie udało mi się tak szczerze wyznać komuś tego, co czuję. Tamtego dnia Nobu został u mnie na noc.

Stwierdziłam w duchu, że słowa mają moc zmieniania świata. Trochę się tego przestraszyłam.

Spotykaliśmy się co tydzień u mnie w mieszkaniu, ale potem Nobu nagle zaczął mieć bardzo dużo pracy, więc widywaliśmy się coraz rzadziej. Uważałam go za mojego chłopaka. Za kogo on uważał mnie? Chciałam wierzyć, że jesteśmy w tej kwestii zgodni, nawet jeśli nie mówimy tego na głos.

Mangi dla dziewczynek w czasopiśmie, które pożyczałyśmy sobie nawzajem z koleżankami, zawsze dobiegały końca, gdy bohaterka schodziła się ze swoim ukochanym. Było jasne, że dziewczynom nic więcej nie trzeba do szczęścia. Teraz przekonałam się, że w rzeczywistości wcale się na tym nie kończy.

Czasem czułam się bardziej samotna, niż kiedy nie miałam chłopaka. Dzisiaj spotkałam się z Nobu po raz pierwszy od trzech miesięcy. Nareszcie się zobaczyliśmy. Szliśmy razem w wiosennym deszczu. Jak zawsze był rozgadany i miły. Przyjemnie oddać się jego słowom i dryfować zgodnie z ich prądem. Kiedy jednak zostawałam sama, nadchodził niepokój. Zupełnie jakbym płynęła w morzu i nagle zdała sobie sprawę, że nie sięgam dna.

„Jesteśmy parą, prawda?”

Za nic nie mogłam zadać tego prostego pytania. Gdybym dostała odpowiedź, po której relacja dwojga ludzi musi się zakończyć, na pewno bym utonąła.

Dlatego dziś także przytakiwałam Nobu, jak satelita krążąc wokół słów, które naprawdę chciałam usłyszeć. Zupełnie jakbym dalej chodziła do podstawówki. Może gdybym wtedy przerobiła tego rodzaju sytuacje, teraz by to tak nie wyglądało.

Koniec końców Nobu nigdy nie mówi tego, na czym mi zależy.

Rozstaliśmy się niedaleko jego pracy. Pomyślałam, że pewnie minie sporo czasu, zanim znowu się zobaczymy.

Dojechałam na moją stację i ruszyłam do domu trasą inną niż zwykle. Musiałam nadłożyć drogi, ale akurat miałam ochotę na spacer w chłodnym wczesnojesiennym deszczu.

Właśnie wtedy spotkałam pewnego kota.

2

W mieszkaniu czuć jej zapach, bardzo mnie to uspokaja.

Naszego pierwszego wspólnego ranka byłem zaskoczony, bo jeszcze nigdy nie obudziłem się w tak ciepłym miejscu. Ona już nie spała, gotowała wodę na kuchence.

– Cześć – powiedziała, widząc, jak obserwuję parę unoszącą się z czajnika.

Szybkim ruchem odsunęła zasłony. Pięknie wyglądały chmury zabarwione światłem wschodzącego słońca. Budynek stał na wzniesieniu, z jej okna na pierwszym piętrze było widać sunące wiaduktem pociągi. Dopiero wtedy zrozumiałem, że to one wydają tamten potężny dźwięk.

Powiedziałem jej o tym, chcąc natychmiast podzielić się swoim odkryciem.

– Tak, ja też się cieszę, Chobi² – odpowiedziała z uśmiechem.

² Wym. „ciobi”, „cio”, jak w słowie „ciocia” – dosł. coś małego.

Chobi?

– Tak się będziesz nazywał, wiesz?

Wtedy pierwszy raz tak się do mnie zwróciła.

Chobi. Polubiłem to imię. Ona mi je nadała. Pomyślałem wtedy, że zapamiętam ten ranek już na zawsze.

Od razu ją pokochałem.

Była bardzo piękna i miła. Kiedy zauważała, że na nią patrzę, jej twarz rozjaśniała się w delikatnym uśmiechu.

Zawsze najpierw przygotowywała jedzenie dla mnie – talerzyk mleka, konserwę, chrupiącą suchą karmę – a dopiero potem sama zaczynała jeść. Kiedy ja piłem z talerzyka, ona kucała obok, trzymając w obu dłoniach duży biały kubek pełny ciepłego mleka. Siedzieliśmy tak jedno obok drugiego i piliśmy to samo.

Poruszała się bez pośpiechu, z gracją. Przy niej czułem spokój.

Gdy już zjadłem połowę swojej porcji (instynkt podpowiadał, żeby zostawić resztę na wszelki wypadek), przewracałem się na grzbiet. Ona wtedy lekko gładziła mnie po futrze na brzuchu, a ja z zadowoleniem machałem ogonem.

Lubiłem wchodzić jej na brzuch, kiedy leżała na podłodze. Zwykle coś wtedy czytała i w milczeniu głaskała mnie po grzbiecie. Lubiłem też patrzeć, jak robi pranie. Wskakiwałem do kosza pełnego ubrań przesiąkniętych jej zapachem i leżałem tam oczarowany.

Suszenie prania także bardzo mi się podobało. Wychodziliśmy razem na balkon, gdzie mogłem oglądać ją, kiedy rozwieszała mokre rzeczy, patrzeć na rozciągające się w górze błękitne niebo, chodzących ulicą ludzi i przejeżdżające samochody.

Na moim legowisku leżał jej sweter, zawsze na nim spałem. Ten biały, który miała na sobie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Na początku budziłem się w nocy, miauczając z przerażeniem, przez jakiś sen, którego potem nie pamiętałem. Przychodziła do mnie wtedy i delikatnie głaskała. Była bardzo czuła i ciepła.

Sama robiła sobie jedzenie. Uwielbiałem, kiedy przyrządzała zupę miso, bo dawała mi suszone sardynki. Lubiłem też, gdy jadła tofu na zimno – wtedy posypywała moją konserwę płatkami suszonej ryby bonito.

Podczas gotowania nuciła różne piosenki. Kochałem jej śpiew.

„Chobi”.

Zawsze tak na mnie mówiła. To imię łączyło mnie z nią, a ona łączyła mnie ze światem.



Codziennie rano wstawałam o tej samej godzinie, w tej samej kolejności robiłam śniadanie, oglądałam ten sam program w telewizji i o tej samej porze wychodziłam do pracy.

Od kiedy zamieszkałam sama, życie według ustalonego rytmu zaczęło sprawiać mi radość. Uspokajała mnie świadomość, że są rzeczy, nad którymi mam kontrolę.

Pojawienie się Chobiego nie zmieniło wiele w mojej codzienności. W domu rodzinnym mieliśmy psa i bywało ciężko – trzeba było

wyprowadzać go na spacer nawet w deszcz czy śnieg – natomiast koty są bezproblemowe.

Dziś także obudziłam się na moment przed budzikiem i szybko go wyłączyłam. Czułam, że Chobi jest w pokoju. Sięgnęłam po leżący przy łóżku termometr i zmierzyłam temperaturę ciała. Notowałam ją, od kiedy zaczęłam się spotykać z Nobu. Po jakimś czasie weszło mi to w nawyk i czułam się dziwnie na myśl, że mogłabym tego nie robić, poza tym szkoda mi było marnować dotychczasowe pomiary.

Zrobiłam śniadanie w promieniach słońca wpadających przez duże okno. Ugnoiłam w dłoniach małe onigiri³, trochę więcej, niż potrzebowałam. Te, które zostały, spakowałam na lunch. Wypiłam mleko z Chobim, potem przebrałam się w strój do pracy, a Chobi rozpoczął zapasy ze zdjętą przeze mnie piżamą. Mogłabym na niego patrzeć bez końca.

³ Bardzo popularna przekąska, składająca się z ugotowanego ryżu (uformowanego w owalny lub trójkątny kształt), najczęściej z nadzieniem (np. łososiem, tuńczykiem z majonezem, wodorostami konbu, kwaśną marynowaną morelą japońską).



Lubiłem spoglądać na jej profil, kiedy robiła makijaż przed lustrem. Rozkładała przed sobą małe przyrządy i z wprawą używała każdego po kolei – wszystko bardzo starannie. Potem odkładała rzeczy na miejsce i spryskiwała się perfumami, a ich woń wypełniała cały pokój. Pachniały jak zroszona deszczem trawa.

W telewizji podawano dzisiejszą pogodę. Zawsze ruszała do pracy dokładnie wtedy, kiedy prognoza dobiegała końca.

Uwielbiałem to, jak wyglądała, gdy co rano wychodziła z mieszkania. Wiązała swoje długie włosy, wkładała marynarkę w ich kolorze, potem buty na wysokim obcasie. Patrzyłem na nią w przedpokoju. Kuciała tam i kładła mi rękę na głowie.

– To ja lecę. Pa – mówiła, prostowała się jak struna i otwierała ciężkie metalowe drzwi.

Mrużyłem oczy przed wpadającym do środka słońcem.

„Pa”.

Znikała w świetle, energicznie postukując obcasami. Słuchałem, jak jej kroki na schodach się oddalają.

Potem wskakiwałem na krzesło i obserwowałem przez okno pociągi jadące wiaduktem. Kto wie, może była w jednym z nich. Patrzyłem tak do woli, a później zeskakiwałem na podłogę.

W mieszkaniu nadal unosił się zapach jej perfum. Zasypiałem z powrotem, spowity tym zapachem.



Jechałem w zapełnionym do ostatniego miejsca wagonie, myśląc o Chobim.

Kiedy spał albo był czymś zajęty, udawał, że nie słyszy mojego wołania, natomiast jeśli sam chciał, żebym się nim zajęła, nagle przewracał się na grzbiet i pokazywał mi brzuch. Gdy przechodziłam nad nim wtedy z obojętną miną, podbiegał, tupając po podłodze, i znów rozkładał się przede mną brzuchem do góry. Najśłodsza rzecz na świecie.

Mimowolnie się uśmiechnęłam, lecz zaraz w popłochu to ukryłam. Tym pociągiem jeździły moje koleżanki z pracy i uczniowie ze szkoły. Byłoby mi wstyd, gdyby zobaczyli mnie z jakąś głupią miną.

Fajnie było wiedzieć, że ktoś czeka na mnie w domu.

Mój wzrok przypadkiem napotkał wiszącą nad drzwiami wagonu reklamę firmy organizującej śluby. Może właśnie na tym polegała radość z małżeństwa? Mnie dostarczał jej kot.

Jedna dziewczyna z mojej dawnej klasy wyszła już za męża. Chajtnęła się ze swoim chłopakiem zaraz po liceum. Rodzice dostawali od niej pocztówki noworoczne, ostatnią ze zdjęciem, na którym z niemowlęciem na rękach stała obok męża. Próbowałam wyobrazić sobie siebie z Nobu na ich miejscu, ale było to tak nierealne, że ogarniał mnie pusty śmiech. Jak miałabym zaproponować, żebyśmy się pobrali, skoro nie potrafiłam nawet zapytać, czy jesteście parą? A może Nobu wziąłby ze mną ślub, gdybym zaszła w ciążę?

Poza tym czy ja w ogóle chcę wychodzić za męża? Wyobraziłam sobie siebie na starość w mieszkaniu pełnym kotów.

W wagonie rozległ się komunikat. Dojeżdżałam do stacji, na której miałam przesiadkę. Wyprostowałam się zdecydowanie i wysiadłam na peron. Pracowałam w sekretariacie policealnej szkoły artystyczno-projektowej. Dotarłam na miejsce i usiadłam przy swoim biurku – było, zgodnie z naturą mojego stanowiska, zapełnione dokumentami, pismami, teczkami i segregatorami. Jeden stos papierów zsunął się z sąsiedniego biurka,

przewracając mój stojak na długopisy. Nie chcę zwracać nikomu uwagi, jeszcze by pomyśleli, że jestem czepialska. To niczyja wina, mamy po prostu za mało miejsca. A przynajmniej tak sobie powtarzałam, włączając komputer.



Po przebudzeniu przeciągnąłem się i postanowiłem pójść na spacer.

Wyszedłem na balkon przez otwór w ścianie, który zrobiono przy podłączaniu piecyka gazowego czy innego sprzętu. Moja pani zamontowała tam małe drzwiczki specjalnie dla mnie. „Jak urośniesz, pewnie przestaniesz się mieścić, ale o tym pomyślimy później” – tak powiedziała, jednak na razie nie miałem z tym problemu. Nie doceniała kociego talentu do przeciskania się przez najwęższe szczeliny.

Była piękna pogoda, wiał przyjemny wiatr. Spomiędzy barierek patrzyłem na pociągi i strumienie aut oraz ludzi płynące ulicą. Kiedy już upewniłem się, że świat działa, przeszedłem przez dwa sąsiednie balkony i znalazłem się na zewnętrznych schodach.

Powietrze było pełne różnych woni. Czulem ziemię, przynoszone przez wiatr zapachy innych zwierząt, aromaty z kuchni w którymś mieszkaniu, swąd spalin i koszy ze śmieciami.

Gdy stanąłem na ziemi, uniosłem głowę i spojrzałem na jej mieszkanie. Jednopiętrowy budynek otaczały wysokie zabudowania. Co prawda wszystkie okna miały ten sam kształt, ale te jej wyglądały wyjątkowo.

Obszedłem budynek. My, koty, mamy swoje terytoria. Ta okolica należała do mnie. Wąchałem tu i ówdzie, sprawdzając, czy żadne inne koty nie próbowały się zbliżyć, i zostawiałem swój zapach. Szczerze mówiąc, nie przywiązywałem do takich spraw szczególnej wagi, ale instynkt nie pozwalał mi o nich zapomnieć.

Zwykle na tym kończył się mój poranny patrol, ale że przyzwyczyłem się już do okolicy, wpadłem na pomysł, by trochę powiększyć moje terytorium. Nadawał się do tego teren naprzeciwko wiaduktu, trochę w górę wzniesienia, bo nie czulem stamtąd zapachu innych kotów.

Im większe terytorium, tym lepiej. Tak mi podpowiadał instynkt. Nie miałem jednak ochoty na kłótnie z innymi przedstawicielami mojego gatunku.

W miarę możliwości wybierałem wysokie albo wąskie przejścia, na przykład szczyty ogrodzeń albo przesmyki pod żywopłotami, tak by nie przejechał mnie samochód ani nie zaczepiali ludzie. Wreszcie dotarłem przed dom z ogrodem pełnym bujnej zieleni.

Szybko zrozumiałem, dlaczego nie osiadł tam żaden inny kot. Był tam pies. I to duży. Wyglądał niemłodo, miał długie uszy i sierść w biało-czarne łaty.

My, koty, z reguły nie jesteśmy przez psy mile widziane. Już miałem odejść, ale akurat ten postanowił mnie zagadnąć.

– Dawnośmy się nie widzieli, Shiro⁴.

⁴ Dosł. biel, biała.

Aż zamrugalem ze zdziwienia. Jego głos brzmiał wręcz przyjaźnie. Bez śladu arogancji typowej dla takich dużych osobników.

– Dzień dobry – odpowiedziałem nieśmiało.

– Jak zwykle wyglądasz zachwycająco, moja piękna.

Piękna? Psy chyba nie odróżniały kocura od kotki.

– Ale... ja jestem samcem – odparłem lekko gniewnym tonem. Oczywiście najpierw sprawdziłem, czy tamten ma obrozę i jest przywiązany.

– Ach, rozumiem. – Wydawał się niezrażony. – W takim razie przystojny z ciebie kawaler – dodał, pewnie z grzeczności.

– Dziękuję.

Dziwny pies. Zaciekawiał mnie.

– Nie nazywam się Shiro, tylko Chobi.

Wytrzeszczył oczy.

– Chobi? Rozumiem... Czyli nie jesteś Shiro. Przepraszam, pomyliłem się, bo to jej teren.

Poczułem ukłucie rozczarowania. Nie podobała mi się myśl, że ktoś mógłby mnie ubiec.

– Ale tu nie ma żadnych kotów. Czułbym zapach.

– Owszem, nie ma, bo pilnuję, żeby się nie zbliżały – odpowiedział pies zagadkowo.

– Pies, który pilnuje terytorium kota? Pierwsze słyszę.

– Obiecałem Shiro, że będę to robił.

– A gdzie ona się podziewa?

– Od jakiegoś czasu tu nie przychodzi. Kiedy ją ostatnio widziałem, chodziła z dużym brzuchem.

Wtedy zrozumiałem. Biała kotka wyglądająca identycznie jak ja...

– To pewnie moja mama – wydusiłem z trudem.
Zostałem sam z tego samego powodu, dla którego w powietrzu tutaj na wzgórzu nie unosiła się kocia woń. Shiro już nie było.
Pies westchnął głęboko.
– John – powiedział.
– John?
– Tak mam na imię. Opowiem ci teraz coś ważnego. Myślę, że powinieneś wiedzieć. – Przybrał poważny ton.
– Dobrze, John.
– Chobi, czy Shiro dużo się z tobą bawiła?
– Nie pamiętam. Ale mam nadzieję, że tak.
– Rozumiem...
Przez chwilę nic nie mówił.
– Wiesz, byliśmy z Shiro tak jakby parą ukochanych.
Jego opowieść nagle zmieniła tor.
– Ukochanych? – powtórzyłem.
– Wszystkie, które uznaję za piękne, to moje ukochane.
– Aha...
– Shiro miała śliczną białą sierść, taką jak ty – powiedział nieobecny głosem.
– Dziękuję.
O moją sierść dbała moja pani, dlatego wyglądała tak ładnie.
– Kiedy jeszcze nosiła was w brzuchu, martwiła się o ciebie i twoje rodzeństwo.
Na te słowa trochę ścisnęło mnie w gardle.
– Powinieneś od dzisiaj pilnować tego terenu.
– Ja? Mogę?
– Shiro by się cieszyła. W ten sposób zostanie po niej jakiś ślad.
– Dziękuję, John.
– Robię to dla mojej pięknej ukochanej.
John ziewnął przeciągle, szeroko otwierając pysk.
– Przychodź, kiedy chcesz.
Nasza rozmowa chyba dobiegła końca. John położył głowę na łapach i zasnął.
„Niezwykła sprawa” – myślałem sobie, schodząc szybkim krokiem w dół wzniesienia.

Tamtego deszczowego dnia, gdy miałem już odejść z tego świata, moja pani uratowała mnie i jakimś cudem zostałem przy życiu. Potem zupełnym przypadkiem spotkałem Johna... Poznałem jego opowieść o mojej mamie i przejąłem jej terytorium.

Choć już prawie pożegnałem się z tym światem, teraz znów czułem, że biegnę w jego rytmie.

Wróciłem na dobre.



Przerwa na lunch. Zjadłam przy biurku przyniesione z domu bento, a potem poszłam do działającej niedaleko małej kawiarni. Tam mogłam się zrelaksować, bo było dość drogo, co odstraszało uczniów. Kiedy zamówiłam kawę, nagle zdałam sobie sprawę, że jeszcze nie powiedziałam Nobu o Chobim.

Bardzo rzadko sama do niego dzwoniłam. Nie tylko dlatego, że zawsze wydawał się bardzo zajęty. Także ze strachu. Bałam się, że rozmowa utknie w martwym punkcie, powiem coś niepotrzebnie i go przez to zniechęcę.

Ale akurat o Chobim mogłabym mówić bez końca.

Czy Nobu lubi koty? Może wcale nie? Nawet tego o nim nie wiedziałam. Opowiadał mi o tak wielu rzeczach, jednak nigdy nie wspomniał o kotach.

Wybrałam numer z historii połączeń. Musiałam się sporo cofnąć, żeby go znaleźć. A przecież kiedyś rozmawialiśmy przez telefon wiele razy dziennie. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

„Nie mogę teraz odebrać. Proszę o zostawienie wia...”

Nagle posmutniałam. Rozłączyłam się, nie nagrywając niczego na sekretarkę. Z głębokim westchnieniem zanurzyłam się w kawiarnianej sofie.

Telefon zawibrował. Błyskawicznie spojrzałam na ekran – Tamaki. W pełnej energii i emotikonów wiadomości informowała, że wybiera się do mnie w Golden Week⁵. Nachalność bardzo w jej stylu. „Będę czekać” – napisałam w odpowiedzi. Brzmiało trochę oschle, więc wysłałam jeszcze zdjęcie Chobiego.

⁵ Dosł. złoty tydzień – okres między 29 kwietnia a 5 maja, na który przypada kilka świąt państwowych; wielu Japończyków bierze wtedy urlop i podróżuje.

Kelner przyniósł moją kawę. Upiłam łyk, po czym zebrałam się w sobie i postanowiłam napisać do Nobu. On prawie nigdy do mnie nie pisał. Jeśli już chciał mi coś przekazać, wolał powiedzieć, taki typ człowieka.

„Przygarnęłam kota. Wabi się Chobi”.

Myslałam dobrą chwilę. Koniec końców wyszło drętwo. Dodałam zdjęcie Chobiego. Wahałam się, czy nie wysłać też swojego, ale zrezygnowałam.

Na obu zdjęciach Chobi pokazywał brzuch.



Wracała zawsze o tej samej porze.

Gdy na zewnątrz rozlegał się dźwięk obcasów uderzających o betonowe schody, biegłam do przedpokoju i siadałam w oczekiwaniu. Po chwili otwierała ciężkie drzwi i wchodziła do mieszkania.

– Witaj z powrotem! – miauknąłem.

– Już jestem!

Głaskała mnie po głowie, zdejmując buty. Czasem od razu brała mnie na rękę.

Miała na sobie wiele różnych zapachów – innych ludzi, ziemi z miejsc, w których nigdy nie byłem, nieznanego mi powietrza. Najpierw wdychałem je wszystkie z przyjemnością, a potem pocierałem tyłem głowy o jej kostki. W ten sposób uzupełniałem własny zapach, który zdążył już z niej wywietrzeć.

Tego dnia miałem dużo do opowiadania. O spotkaniu z Johnem, o terytorium mojej mamy, o nowych zapachach, które dziś przyniosła.

Słuchając mnie, otworzyła konserwę i zajęła miejsce przy blacie w kuchni. Kiedy już pochłonąłem kolację, równocześnie miaucząc o mamie, zadzwonił telefon.



Może to Nobu?

Wyłączyłam gaz, odłożyłam długie pałeczki do gotowania i chwyciłam komórkę. Niestety – na ekranie wyświetlało się imię mojej matki.

– Halo?

Chobi głośno ostrzył pazury o tekturowy drapak. Dziwne, zwykle nie robił tego o tej porze – może zaskoczył go dzwonek telefonu.

– Miyu, co ty taka nie w sosie?

Chyba wyczuła w moim głosie zawód, że to nie Nobu.

– Wcale nie.

– Pewnie jesteś zawiedziona, że to tylko mama, a nie twój chłopak! – wypaliła bez owijania w bawełnę.

Milczałam, nie mając pojęcia, jak mogłabym jej odpowiedzieć.

– Zaraz, znalazłaś sobie kogoś? Przedstaw mi go koniecznie! No powiedz, fajny jakiś?

– To wcale nie tak...

– No, nieważne. Co robisz w Golden Week?

– Wybacz, ale ktoś już do mnie przyjeżdża.

– Chłopak?

– Nie, koleżanka. Tamaki, ta ze szkoły!

– A, Tama! Ha, ha! Mniejsza o mnie, ale tata bardzo za tobą tęskni. Pokazałabyś się czasem.

– Dobrze.

– Ryżu masz wystarczająco?

– Tak.

– O kurczę, to niepotrzebnie ci wysłałam.

Mogłaby najpierw zapytać...

– Potrzebujesz czegoś?

– Niekoniecznie.

– Aha. No to pa!

Rozłączyła się. Moja matka nigdy nie słuchała, co się do niej mówiło. Dziwne, że urodziła jej się taka córka jak ja. Ale przynajmniej poprawiła mi trochę humor. Miałam wrażenie, jakbym przejęła trochę jej pogody ducha.

Podbudowana wysłałam Nobu krótką wiadomość.

„Jakie masz plany na Golden Week?”

Odpowiedź przyszła, zanim skończyłam gotować udon.

„Wybacz, pracuję”.

Dwa słowa. I żadnej reakcji na zdjęcie Chobiego.

Westchnęłam.

Połowę saszetki suszonych płatków ryby bonito wyłożyłam na makaron, który zdążył się rozgotować, bo co chwilę to gasiłam, to zapalałam pod nim gaz, a resztę wysypałam na kocią konserwę Chobiego. Był wniebowzięty już z powodu samego zapachu. Dzisiaj dostał wyjątkowo dużo.

Zaczęłam porządkować galerię na telefonie. Znalazłam tam zdjęcie, na którym byłam z Nobu – zrobiliśmy je sobie razem z maskotką w najślawniejszym parku rozrywki w Japonii.

Patrzyłam na nie coraz bardziej przygnębiona.

Chobi wdrapał mi się na kolana i wystawił głowę spomiędzy mnie i brzegu biurka.

– To ja.

Na zdjęciu miałam minę, jakbym znalazła się gdzieś, gdzie wcale nie powinnam być.

– A to mój chłopak.

Na tym wołałam porzestać. Chobi z wielkim zdziwieniem wpatrywał się w moją twarz na ekranie telefonu.



Obudziłem się, gdy nadeszła pora na nocny patrol. Moja pani siedziała z telefonem przy małej lampce. Rzadko się zdarzało, żeby jeszcze nie spała o tej porze. Była w piżamie, więc pewnie wzięła już kąpiel.

Po cichu, tak żeby jej nie przeszkadzać, sprawdziłem całe mieszkanie, a kiedy nabrałem pewności, że wszystko w porządku, wypilem kilka łyków wody z mojej miseczki, rozprawilem się z resztą kolacji i wspiałem się jej na kolana.

Miała taką samą minę jak na zdjęciu, które mi wcześniej pokazała. Uśmiech, ale z jakiegoś powodu trochę sztywny.

„Chciałbym umieć czytać” – pomyślałem, wchodząc na moje legowisko wyłożone jej swetrem, i położyłem się spać.

3

W Golden Week odwiedziła mnie Tamaki.

Proponowała, żebyśmy gdzieś razem pojechały, ale postanowiłam przenocować ją u siebie, w końcu miałam kota.

Ugotowałam obiad, przy jedzeniu wzniosłyśmy toast piwem w puszkach. Potem, gadając o najróżniejszych głupotach, oglądaliśmy film, który przyniosła Tamaki.

Chobi od razu ją polubił i nawet pozwalał się głaskać po brzuchu.

– Patrz, jaki flirciarz! – roześmiała się Tamaki.

– Chobi, nie wierzę! Z moją własną przyjaciółką? – zawtórowałam.

– Ech, ci faceci...

Nagle posmutniała. Wyznała mi, że chłopak, w którym się kochała, był wyjątkowo niedomyślny i mimo jej starań wcale nie zwracał na nią uwagi.

Uświadomiłam sobie wtedy, że nie powiedziałam jej jeszcze o Nobu. Chciałam podzielić się nowinami, kiedy już oficjalnie zostaniemy parą, ale ciągle nie miałam pewności, i tak się to ciągnęło aż do teraz... Koniec końców nie poruszyłam tematu.

Została u mnie tylko na jeden dzień, ale śmiałam się z nią tyle, co zwykle przez cały miesiąc. Za sprawą Tamaki zniknęło przygnębienie, które mnie ostatnio ogarniało. Przybyło mi siły, by dalej mierzyć się ze światem. W szkole była jedna dziewczyna, która malowała tak pięknie, że aż zapierało dech.

Jak mówił jeden z doświadczonych nauczycieli, co roku zapisywały się do nas jedna lub dwie osoby obdarzone wyraźnym talentem. Ta dziewczyna miała na imię Reina i tworzyła niezwykle obrazy przyrody w kolorach nie z tego świata. Zawsze z przyjemnością czekałam, aż złoży w sekretariacie prace do oceny.

Problem w tym, że chociaż dostarczała wszystkie zadania, nie cieszyła się dobrą opinią wśród nauczycieli i innych uczniów. Wszystko przez jej zachowanie podczas zajęć.

– Miyu, masz chłopaka?

Mówiła do mnie jak do koleżanki. Była to podobno oznaka sympatii, tak przynajmniej twierdziły dziewczyny z sekretariatu.

– *No comment.*

Przywykłam już do tej pracy na tyle, by nie stracić w takiej sytuacji rezonu.

– Masato przypadkiem się w tobie nie podkochuje? Kobieta na jego ostatnim rysunku wyglądała zupełnie jak ty.

Mówiła o chłopaku z jej grupy. „Od razu słysząc, że to jeszcze dziecko” – pomyślałam w duchu.

– Nie opowiadaj głupstw, tylko daj zadanie.

– Dobrze, dobrze...

Wzięłam od niej kolejną wspaniałą pracę, tym razem z rysunku.

Kiedy poszła już z powrotem do sali, ciekawość jednak wzięła górę. Sprawdziłam ostatnią pracę Masato. Moim zdaniem kobieta bardziej przypominała Reinę.

Pan Kamata, starszy nauczyciel obarczony latami doświadczenia, wziął do ręki rysunek Reiny.

– Wie pani, rozwinąć talent to jedno, ale trudniej jest sprawić, żeby nie zniknął. Kenji Miyazawa wspominał w którymś wierszu: „talent ani siła, ani zdolności nie pozostają w człowieku”... – Utkwił wzrok gdzieś daleko. – „W człowieku nie pozostaje nawet człowiek”. Tak właśnie jest – dodał.

Dla mnie słowa te niosły wyjątkowy ciężar.



Nadeszło lato, a ja znalazłem sobie dziewczynę.

To mała kotka imieniem Mimi.

Spotkałem ją podczas spaceru. Chodziła po moim terytorium. Rzadko zdarzają się koty mniejsze ode mnie, dlatego żal mi było ją przeganiać. Pomyślałem, że prędzej czy później i tak sobie pójdzie.

Następnego dnia zaczęła za mną chodzić. Przemykałem od cienia do cienia, unikając palącego letniego słońca, a ona nie wiem kiedy podążała dokładnie tą samą trasą.

Nie odzywałem się. Wolałem nie mieć z nią nic wspólnego.

Kiedy podszedłem pod dom Johna, siedzące na drzewach cykady zaczęły nagle śpiewać wszystkie naraz i trochę podskoczyłem ze strachu, ale nie jakoś bardzo.

– Wiesz, co to za dźwięk? – zapytała wtedy Mimi.

– Zwykły śpiew owadów – odpowiedziałem.

– Źle! – zaprzeczyła radośnie.

– To jaki?

– Otóż... To dźwięk, którym przyzywają deszcz – powiedziała, jakby wyjawiała mi sekret.

– Bujda.

– Przekonamy się?

Siedliśmy obok siebie w oczekiwaniu na deszcz... I rzeczywiście niedługo potem zaczęło padać.

– Wygrałam. Teraz masz zrobić, co ci powiem.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy się tak umawiali...

– Oj tam, oj tam. Wygrałam, więc jutro masz się ze mną pobawić.

Otarła się o mnie, a ja natychmiast odskoczyłem.

– N-no dobrze.

– Tylko nie zapomnij!

Następnego dnia spacerowaliśmy razem, potem cykady zaśpiewały i zaczęło padać.

Nic nadzwyczajnego. Latem często się zdarza taki nagły deszcz. Mimi czekała na mnie też kolejnego dnia.

Świetnie umiała przypadobać się ludziom. Pewnego razu zaprowadziła mnie do starego drewnianego budynku. Przechodziliśmy obok terytorium innego kota, więc trochę się stresowałem, ale ona wyglądała na zupełnie spokojną. Kiedy dotarliśmy na miejsce, młoda kobieta otworzyła starą okiennicę i wystawiła głowę na zewnątrz. Miała krótkie włosy i ani śladu makijażu. Niezbyt za takimi przepadałem.

– Znowu ty?

Podeszła do nas. W panice zanurkowałem pod stojące niedaleko auto, natomiast Mimi stała nieporuszona.

– Chodź, przedstawię cię. To jest Reina.

Kobieta zwana Reiną powiedziała, żebyśmy chwilę zaczekali, po czym przyniosła z mieszkania jakieś jedzenie. Było w puszcze, ale pachniało zupełnie inaczej niż to, co zawsze jadłem.

– Proszę, obiad podano. Tylko podzielcie się grzecznie.

Bojaźliwie zabrałem się do jedzenia połowy, którą odstąpiła mi Mimi. Pierwszy raz karmił mnie ktoś inny niż moja pani. Konserwa była tłusta, smakowała ni to kurczakiem, ni to rybą – nigdy czegoś takiego nie jadłem.

W drodze powrotnej przechodziliśmy obok wielkiej wieży wysokiego napięcia. Było na niej gniazdo.

– Złap mi jednego – powiedziała Mimi, wpatrując się w ptaki.

– Po co?

Nie byłem głodny.

– Przecież aż się proszą.

Zamiatała ogonem z lewa na prawo. Wprost kipiała energią.

– Nie wdrapię się tak wysoko.

– Słabeusz.

Mimi była jeszcze dzieckiem. Postanowiłem zignorować jej zaczepki.

– Straszna z tobą nuda! – rzuciła i poszła sobie.

Pomyślałem wtedy, że jednak wolę samice zachowujące się trochę dojrzałej. Innego dnia zrobiłem sobie akurat przerwę od spaceru i chłodziłem się w cieniu na betonie, kiedy Mimi nagle podeszła i zaczęła ze mną flirtować. Dla niej każde miejsce było do tego dobre.

– Chobi...

– Co, Mimi?

Weszła na mnie, a ja przewróciłem się na ziemię.

– Weźmy ślub.

– Tyle razy ci mówiłem, że mam już dziewczynę. Dorosłą – powiedziałem, przywołując w myślach obraz mojej pani.

– Kłamiesz.

– Nie kłamię – odparłem, nadal leżąc pod Mimi.

– To mi ją przedstaw.

– Nie.

W końcu byłem jej kotem.

– Dlaczego?

– Mimi, tyle razy już powtarzałem... Powinnaś poczekać, aż będziesz trochę starsza.

Była jeszcze kociątkiem.

– Nudziarz. – Machnęła ogonem z irytacją.

– Przecież ty też masz swoją panią. O kimś takim mówię.

– Reina nie jest żadną moją panią. Ona tylko daje mi jedzenie.

– To co was łączy?

– Nie wiem.

Rozmawialiśmy tak o niczym jeszcze jakiś czas.

W oddali na oślepiająco błękitnym niebie zawisł wielki cumulonimbus. Tego dnia cykady śpiewały wyjątkowo głośno. Mimi lizała przednią łapę i czyściła sobie pyszczek.

– Trzeba wracać, zanim zacznie padać.

Umieliśmy już mniej więcej wyczuć, kiedy zbliżał się deszcz.

– Przyjdź jeszcze – powiedziała bardzo smutnym głosem.

– Przyjdę.

– Ale nie zapomnij, dobrze? Przyjdź na pewno. Ale na pewno.

Zapewniałem ją, ona dopytywała, i tak w kółko – kiedy wreszcie zebrałem się do powrotu, zaczynało już padać.

Mimi patrzyła za mną z potulną miną, aż nagle gdzieś zniknęła. Pewnie poszła do tamtego mieszkania w starym drewnianym budynku.

Niebo, jeszcze niedawno tak ogromne, coraz szczelniej zakrywały niskie, ciemne chmury.

„Szkoda, że moja pani nie potrafi przypodobać się innym tak świetnie jak Mimi” – przemknęło mi przez myśl, gdy wracałem, uciekając przed deszczem.



W wakacje straciłam przyjaciółkę.

Były sygnały... tak przynajmniej myślę. Doszło do tego, bo nie zdobyłam się na to, by pokonać niepokój i powiedzieć, co powinno zostać powiedziane. Sama byłam sobie winna.

Po prostu bałam się upewnić.

Tamtego letniego dnia Chobi od rana zachowywał się dziwnie. Możliwe, że udzielił mu się mój nastrój. Chodził w kółko po pokoju bez wyraźnego powodu.

Odwiedziła mnie Tamaki. Byłyśmy umówione już od jakiegoś czasu. Rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym, a gdy temat się urwał, powiedziała nagle:

– Przecież ja byłam w nim zakochana.

Zaparło mi dech. Powinna być się upewnić na samym początku.

– Na pewno się zorientowałaś. Nie mogłaś nie wiedzieć.

Nigdy wcześniej od niej nie słyszałam, że kocha się właśnie w Nobu.

Skąd mogłam wiedzieć, skoro mi nie powiedziałaś? Jak mogłam się nie domyślić? Równocześnie robiłam wyrzuty sobie i chciałam zrzucić całą winę na nią.

Znowu to samo. Nadal dryfowałam na powierzchni morza słów, nie znając ich ukrytych sensów, nie pojmując rzeczy, które wszyscy rozumieją instynktownie.

Gdybym wiedziała, że Tamaki była zakochana w Nobu, do niczego by nie doszło.

Chciałam jej to przekazać, ale nie potrafiłam znaleźć słów.

– Już nam się nie układa – powiedziałam zamiast tego.

Popatrzyła na mnie z przerażającą miną. Pierwszy raz ją taką widziałam.

Kiedy zamilkłam, Chobi przestał pokazywać brzuch i spojrzał na mnie z niepokojem. Poczulałam na ręce zimne poduszcзки jego łapki.

Tamaki zabrała rzeczy, które miałam od niej pożyczone, i wyszła. Między innymi robota kuchennego, którego jeszcze ani razu nie użyłam. Przyniosła

mi go kiedyś, mówiąc, że wygrała w bingo na zwyczajowym afterparty po przyjęciu weselnym.

Patrzyłam, jak wychodzi z wielkim pudłem w ramionach. Pomyślałam wtedy, że straciłam przyjaciółkę.

Dzwoniłam dzień w dzień, odebrał dopiero trzeciego.

– Czy my byliśmy parą?

Wreszcie wymówiłam te słowa. Co prawda głos miałam trochę zachrypnięty, pewnie ze stresu, ale zadałam upragnione pytanie. Zajęło mi to zaskakująco wiele czasu.

– A nie? – odbił piłeczkę. Wtedy pierwszy raz pomyślałam, że cwaniak z niego.

– Nie możemy się dłużej spotykać – postawiłam sprawę jasno.

– Masz kogoś innego? – zapytał zupełnie zwyczajnym tonem.

– Nie.

– W takim razie... – zaczął mówić spokojnie i miło, tak jak zawsze.

Teraz wszystkie te zdania wydawały mi się pozbawione znaczenia i niegodne zaufania. Morze jego słów, które wcześniej miałam za pełne bogactwa, nie było wiele warte.

– Nie chcę tego słuchać.

Wtedy zrozumiałam, a słowa popłynęły same, zanim zdążyłam pomyśleć. Wylewały się ze mnie, jakby chciały zapełnić przestrzeń, która do tej pory pozostawała pusta.

Tak naprawdę chyba wiedziałam, co czuje Tamaki. Postanowiłam jednak udawać, że się nie zorientowałam. Dlatego nie mogłam zapytać Nobu, czy jesteśmy parą czy nie. Bo gdybym nabrała pewności, oznaczałoby to zdradę przyjaciółki.

Cierpiałam. Natomiast jemu chyba było w tej sytuacji całkiem wygodnie.

– Nie wiedziałem, że potrafisz tyle mówić.

To były ostatnie słowa, które od niego usłyszałam.

Tak oto straciłam nie tylko przyjaciółkę, ale też chłopaka.



Był środek lata. Słyszałem krople deszczu uderzające o beton na balkonie.

Najpierw długo rozmawiała przez telefon, a potem płakała.

Nie wiedziałem dlaczego. Pierwszy raz widziałem ją w takim stanie. Oparła głowę na kolanach, ukryła twarz i płakała.

To nie była jej wina. Obserwowałem ją cały czas, więc doskonale wiedziałem – żyła z całych sił, zawsze miłsza niż ktokolwiek inny, zawsze piękniejsza.

– Chobi... – powiedziała, nie wycierając łez.

Kucała obok przewróconego krzesła, w dłoni ścisnęła telefon, z którego dobiegał jednostajny dźwięk przerwane połączenia.

– Chobi, jesteś tu, prawda?

Wyciągnęła rękę. Kiedy mnie dotknęła, całe ciało rozboleło mnie od jej smutku.

Zimne światło latarni padało na nas przez szparę między zasłonami.

– Proszę... Proszę...

Zrozumiałem, że zerwała się więź między nią a kimś bardzo dla niej ważnym.

– Proszę, niech mi ktoś pomoże...

Płakała bez końca.

Świat nadal kręcił się razem z nami w nieskończonej ciemności.



Lato dobiegało już końca.

„Kanakana! Kanakana!” – śpiewały nowe cykady. Próbowaliśmy z Mimi naśladować ten śmieszny dźwięk, ale bez skutku. Nasze próby i tak brzmiały jak miauczenie albo cieniutki pisk.

Od tamtego wieczoru moja pani ciągle była przygnębiona. Na dodatek ścięła swoje długie włosy. W krótkiej, rozjaśnionej fryzurze wyglądała przepięknie. Chciałbym tylko, żeby jej oczy też znów jaśniały.

Około południa, kiedy jej nie było w domu, wybrałem się do Johna.

Miałem z nim dobry kontakt, opowiadał mi różne ciekawostki. Wiedział o rzeczach, z których ja nie zdawałem sobie sprawy, dlatego wiele wynosiłem z naszych spotkań. Z początku myślałem, że nie zwraca uwagi na to, co mówię, ale kiedy zorientowałem się, że po prostu kiepsko słyszy, nauczyłem się z nim rozmawiać.

– Cześć, John! Wpadłem w odwiedziny.

– Witaj, Chobi, ty mały przystojniaku.

Jak zwykle leżał w swojej budzie, tak jak zawsze opierając głowę na złożonych przednich łapach. Wyglądał zupełnie jak element dekoracji ogrodu.

– W temacie mojej pani... Chciałbym jakoś zapełnić pustkę w jej sercu.

– Chobi, tak jak już wcześniej mówiłem, jest to w zasadzie niemożliwe. – Zrobił smutną minę. – Przecież wy nie pamiętacie, prawda? Ani ty, ani ona?

– Ale czego?

– Wiesz, ja pamiętam czasy sprzed powstania życia.

– Powstania... życia?

– Jak by ci to wytłumaczyć... Jak myślisz, dlaczego zwierzęta dzielą się na samce i samice? Zastanawiałeś się nad tym kiedyś?

Odpowiedziałem szczerze, że nie, nigdy, bo to coś oczywistego. John wydał z siebie zamyślane westchnienie.

– Zanim to nastąpiło, trwała szczęśliwa epoka bez samotności.

– Czyli w dzisiejszych czasach szczęście jest niemożliwe?

– Ależ skąd – zaczął mówić z nieobecną miną. – Życie rozdzieliło się, by przetrwać.

– W jakim sensie?

– Po podziale jest silniejsze, niż było przed nim.

– Szczerze wątpię.

Przypomniałem sobie, jak moja pani płakała. Moim zdaniem było wręcz przeciwnie.

– Można to nazwać siłą miłości, siłą płynącą z faktu, że potrzebujemy innych. Zyskaliśmy ją w zamian za samotność. Ona wzmacnia żywe organizmy.

Nie do końca rozumiałem, o czym John mówi, ale miałem nadzieję, że to prawda i smutek mojej pani nie jest daremny.

– Pamiętam tamte szczęśliwe czasy, gdy nie było jeszcze samotności. Wtedy wszystko stanowiło jedność. Nasz świat u zarania był bardzo prosty, potem komplikował się po trochu, aż przyjął formę, jaką znamy dzisiaj. Wiesz, że na początku składał się z bardzo niewielu pierwiastków? Kolejne powstawały w jądrach gwiazd, gdy te rodziły się i umierały w niewyobrażalnie długim czasie. Stworzone wtedy cząstki do dziś płyną w naszej krwi. Kryją się w genach tkwiących w naszych komórkach, w ziemi i w pociągach, które tak lubisz. Pamiętam tamte czasy.

– Czyli we mnie też jest coś zbudowanego z gwiazd?

– Owszem, w tobie też. I w twojej pani. Wy nie pamiętacie, dlatego tak doskwiera wam samotność – odparł John.

Wieczorem tamtego dnia wpatrywałem się w gwiazdy. Jeśli John mówił prawdę, kiedyś wszyscy byliśmy jednością.

Moja pani podeszła i kucnęła obok mnie.

John wspominał, że gdyby migające na niebie kropeczki gwiazd były bliżej, świeciłyby równie mocno jak słońce. Na samą myśl kręciło mi się w głowie, a drobnostki codziennego życia traciły znaczenie.

Chciałbym móc jej to powiedzieć.

Siedzieliśmy obok siebie z oczami utkwionymi w gwiazdach. Z oddali dobiegał stukot pociągu jadącego po wiadukcie. Dźwięk wprawiający w ruch cały świat. Planeta wciąż kręciła się razem z nami wokół własnej osi.

4

Zmieniły się pory roku – nastawa zima.

Pierwszy raz widziałem świat przykryty śniegiem, czułem jednak, że znam ten widok od dawna. Szyba zachodziła mgłą od mojego oddechu. Pięknie wyglądało światło stojącego przy drodze automatu z napojami, kiedy sączyło się przez tę zaparowaną część.

Śnieg zalegał na światłach nad skrzyżowaniem i na skrzynce na listy, nadając wszystkiemu zupełnie nowe oblicze.

Zimą słońce wstaje późno, dlatego było jeszcze ciemno, gdy wychodziła do pracy.

Od kiedy ścięła włosy, jej głowa od tyłu była okrągła jak łebek kota. W grubym płaszczu jeszcze bardziej przypominała jedną z nas.

– To ja lecę. Pa – powiedziała jak zwykle, kładąc mi dłoń na głowie, po czym otworzyła ciężkie metalowe drzwi. Wraz z zimnym powietrzem do środka wpadł zapach śniegu.

Wyszła na zewnątrz w ciężkich butach. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, przekręciła klucz w zamku, potem zeszła schodami. Chuchała białym obłoczkiem pary w swoje drobne, zmarznięte palce. Wyobraziłem sobie to tak dokładnie, jakbym ją widział. Szła, deptając po śniegu, po niebie hen nad nią płynęły chmury, z których powoli spadały białe płatki.

Zostałem w naszym mieszkaniu i czekałem, aż wróci.

Sam nie wiem, kiedy nauczyłem się jednym susem wskakiwać na stół. Leżały na nim wycięte z gazet zdjęcia stroików świątecznych. Spojrzałem przez okno. Miasto pokrywał biały puch, ale nadal było widać smoliście czarną, przypominającą olbrzyma wieżę wysokiego napięcia.

Śnieg pochłaniał wszystkie dźwięki, jednak stukot pociągu, którym odjeżdżała, docierał do moich nadstawionych uszu. Był to dźwięk serca napędzającego świat.

Tętno pozostawało niezmiennie, mimo że tak wiele rzeczy ulegało przemianom. Przyjmowałem te zmiany jako coś dobrego.

Nie mogłem nic poradzić na problemy mojej pani. Pozostało mi jedynie być przy niej i przeżyć dany mi czas.

ROZDZIAŁ II

Kwiaty początku

1

Było długie letnie popołudnie, w powietrzu wisiał zapach kamforowca. Mało światła wpadało przez okna, zasłaniały je wielkie niepoprzycinane gałęzie. Dziewczyna rozcieńczała farby gęstą cieczą o żywicznym zapachu. Zwróciła się w stronę obitej białym płótnem ramy, wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy.

Całe osiedle było spokojne i zaciszne – z wyjątkiem tego zniszczonego przez upływ czasu budynku, w którym nawet w ciągu dnia panował harmider. Mieszkańcy pogrywali na instrumentach, kiedy tylko chcieli, z radioodbiorników dobiegały relacje meczów, skrzypiały zardzewiałe schody. Na dodatek dziwnie tam pachniało. Każdy normalny kot trzymał się od tego miejsca z daleka.

My, koty, nie lubimy intensywnych, nietypowych zapachów, nie znosimy też głośnych dźwięków. Właśnie dlatego odetchnęłam z ulgą. Tutaj nikt nie będzie mnie męczył. Poza tym miałam kiepski słuch, taki hałas wcale mi nie przeszkadzał.

Wokół budynku rósł dziki ogród. Wspięłam się na jedną z wybijałych gałęzi kamforowca i patrzyłam stamtąd na dziewczynę. Bez ruchu wbijała spojrzenie w białe płótno.

Urodziłam się na początku lata, dlatego nie rozumiałam jeszcze zbyt dobrze tego, co robią ludzie, ale pomyślałam sobie, że to chyba nic normalnego tak bez końca gapić się w kawałek tkaniny.

Wreszcie się poruszyła.

Bez wahania pociągnęła grubą czarną linię przez sam środek płótna. Przeniknął mnie elektryzujący dreszcz. Jej ruch miał w sobie tyle siły, że nie mogłam opanować ogona. Była niesamowita. Drobna, niska, do tego włosy miała w trochę dziwnym kolorze, ale była wspaniała. Nakładała farby na płótno, aż zaszło słońce, a na ulicach zapaliły się latarnie. Na zwyczajnym kawałku tkaniny narodził się pejzaż, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam.

Nagle dziewczyna spojrzała prosto na mnie. Jej wzrok był tak intensywny, że znieruchomiałam, jakby przebił mnie na wylot.

– Mimi.

Tak mnie nazwała. Dotychczas ludzie mówili do mnie tylko słowa w rodzaju: „A kysz!”, „Mały złodziej” i „Dachowiec”. Ona mnie jednak nie przepędziła, tylko dała jeść. Rybna konserwa w oleju była przepyszna, ale jeszcze bardziej niż z posiłku cieszyłam się z nowego imienia.

Postanowiłam, że od tej pory będę się nazywać Mimi.



Wyglądała dokładnie jak kot, którego mieliśmy w domu, gdy chodziłam do podstawówki.

Malutka Mimi. Biała jak śnieg i rozpieszczona do granic. Zawsze czekała w oknie na piętrze, aż wrócę ze szkoły. Kiedy malowałam przy biurku, wchodziła na kartkę, domagając się uwagi. Kładła się na miejsca, w których farby nie zdążyły wyschnąć, barwiąc swoje bieluteńkie futro na kolorowo. Rozczułało mnie, jak podczas posiłków próbowała uczestniczyć w naszej rozmowie, miaucząc głośno z miejsca na szafce kuchennej.

Właśnie – za jej czasów mieszkałam jeszcze z mamą i tatą. Jedliśmy wspólnie śniadania, ja opowiadałam o wydarzeniach w szkole, a oni słuchali. Razem ze mną śmiali się z tych zabawnych i złościли z powodu tych przykrych.

Sama nie wiem, kiedy zaczęliśmy jeść o różnych porach, a wspólne rozmowy stały się rzadkością.

Teraz mama i tata mieszkali osobno, ona z nowym partnerem, on z nową partnerką. Kiedy skończyłam liceum, postanowiłam się wyprowadzić i zamieszkać sama. Oboje byli temu przeciwni, ale skoro oni nie mieli problemu, by zacząć nowe życie, nie pytając mnie o zdanie, to ja też chciałam żyć po swojemu.

Moje nowe lokum było stare i brudne, ale darmowe. A raczej, mówiąc precyzyjniej: opłaty miałam odroczone do czasu, kiedy będę mogła zapłacić. To dzięki temu, że babcia ze strony mamy zarządzała budynkiem. Pasowało mi, że nie było czysto, przynajmniej nie musiałam się przejmować, że przy malowaniu wszystko pobrudzę.

Uczyłam się w policealnej szkole artystyczno-projektowej. Od trzeciej klasy chodziłam tam na zajęcia przygotowawcze przed egzaminami na akademię sztuk pięknych, ale nie udało się. Chciałam zdawać jeszcze raz w przyszłym

roku, jednak straciłam już ochotę. Zastanawiałam się, czy nie pójść od razu do pracy.

Na uczelnie artystyczne potwornie trudno się dostać, bo to pierwszy wybór tych wszystkich geniuszy, którzy wychodzą z założenia, że łatwiej coś tam narysować czy namalować, niż przyłożyć się do nauki. Trzeba mieć naprawdę świetną technikę, by przejść selekcję. Za późno zdałam sobie z tego sprawę. „Nie chce mi się zakuwać do egzaminów, a rysunek jakoś machnę” – przez naiwniaków z takim nastawieniem cierpią osoby takie jak ja, czyli te naprawdę utalentowane.

Moje obrazy były świetne i sama doskonale to wiedziałam.

Mimo tego wykładowcy – niedoszli artyści z dyplomami akademii – wcale ich nie chwalili, tylko zadawali mi ciągle zadania niewymagające wyobraźni.

Przecież nawet ten kot, który tak przypominał Mimi, nie mógł oderwać wzroku od mojego płótna. Dlaczego profesorowie nie rozumieli czegoś, co pojmował byle kot?

Bądźmy szczerzy – nikt w szkole nie malował lepiej ode mnie.

Urodziłam się obdarzona talentem, więc pewną dozę pecha akceptowałam bez szemrania. Na przykład to, że jestem niska, że nie wyszedł mi kolor przy farbowaniu włosów albo że oblałam egzaminy wstępne.

Moim zdaniem kwestia szczęścia czy pecha zależy od nastawienia. Na przykład moja sytuacja rodzinna – oczywiście zdrady i separacja rodziców to nic fajnego, ale pod względem finansowym nigdy nie miałam powodów do narzekania, no i mogłam mieszkać sama za darmo. Nie dostałam się na studia, ale byłam szczęśliwa, bo dzięki temu odkryłam coś, co chciałybym robić w życiu.

Miałam zamiar utrzymywać się z malowania.

Wystarczał mi jeden ruch dłoni, by najróżniejsze myśli przychodziły i odchodziły jedna po drugiej. Skupiałam się wtedy i nie widziałam już nic poza obrazem. Dzisiaj mój pędzel sunął po płótnie wyjątkowo lekko – być może dlatego, że miałam widownię w postaci białego kota.

W ramach podziękowania otworzyłam mu puszkę tuńczyka. Jadł jak w transie, co znowu przypominało mi Mimi. Ona też uwielbiała tuńczyka.

Przeszło mi przez myśl, czyby go nie przygarnąć.

W budynku nie obowiązywał zakaz trzymania zwierząt jak w jakimś eleganckim apartamentowcu, ale nikt z mieszkańców i tak tego nie robił.

Moi sąsiedzi byli zdegenerowani lub biedni, albo i to, i to. Nie należeli do osób, które mogłyby zająć się zwierzakiem jak trzeba.

Poza tym musiałam kupować farby i inne materiały. I tak zawsze brakowało mi pieniędzy, nie mogłam sobie pozwolić jeszcze na kota.



Miała na imię Reina. Wiedziałam, bo mi powiedziała.

Nigdy nie spotkałam innego człowieka, który przedstawiłby się kotu. Zawsze roztaczała dziwne zapachy – alkoholu, farb, perfum, zagranicznych przypraw, a czasem papierosów, choć sama nie paliła.

Była bardzo humorzasta. W niektóre dni mnie karmiła, w inne wcale nie – zwykle wtedy, gdy malowała jak zahipnotyzowana. Nie miałam wyboru, więc pożyczalam sobie jedzenie od pozostałych mieszkańców albo z innych miejsc. Za budynkiem był zarośnięty klomb i kurek do podlewania, tam zawsze mogłam napić się czystej wody.

Z reguły dawała mi to, co sama jadła, dlatego czasem było pyszne, a czasem wolałabym nie próbować czegoś podobnego nigdy więcej. Jeśli miała dobry humor, otwierała mi konserwę dla kotów.

Karmiła mnie, ale nie byłam jej kotem.

– Wybacz, ale nie mogę cię przygarnąć – powiedziała przy naszym pierwszym spotkaniu. – Bo koty umierają.

Przyznałam jej rację. Koty umierają, i to szybko.

Byłam cała biała, najmniejsza z całego rodzeństwa, do tego trochę słabo słyszałam. Nie zliczę, ile razy najadłam się strachu, bo prawie wpadłam pod samochód albo za późno zauważyłam, że zbliża się inny kot.

– No, ale taka wasza rola, prawda? – roześmiała się.

Mimi to chyba imię kota, którego straciła. Jeśli tak, to ja jestem Mimi Druga.

Reina sama przyznała, że robi, co chce, i nie przejmuje się zdaniem innych.

– Na tej samej zasadzie daję ci jeść.

Nie przesadzała. Kiedyś drzemałam w cieniu na chłodnym betonie, gdy nagle złapała mnie za skórę na karku i urządziła kąpiel w miednicy.

– Nie wiedziałam, że jesteś taka bieluteńka. Ślicznotka z ciebie.

Naprawdę myślałam, że umrę, ale wystarczyły te trzy ostatnie słowa, bym od razu odzyskała dobry humor. Cieszyłam się, że mnie chwali.

Lubiłam Reinę, bo była bardzo silna.

2

W kałuży po krótkiej letniej ulewie odbijało się błękitne niebo.

Wracałam ze szkoły. Myślałam akurat o tym, co zrobić na kolację, gdy usłyszałam za sobą jakiś męski głos. To Masato, chłopak z mojej grupy.

– Chcesz czegoś?

Zrobiłam mu tę łaskę i zapytałam, nawet się nie zatrzymując.

– Wiesz, jest pomysł, żeby w wakacje wybrać się całą klasą na basen. Jakbyś chciała, to...

Zawsze mamrotał pod nosem, przed wszystkimi się krępował i zupełnie nie miał ikry.

– Nie chcę – odpowiedziałam od razu i ruszyłam przed siebie.

– Tak myślałem... – powiedział smutno, po czym zaczął iść niby obok, ale pół kroku za mną. – No, mniejsza z tym, ale...

Mniejsza? Serio?

– To prawda, że się wypisujesz?

Pokiwałam głową.

– Będę szukać pracy.

Nie powiedziałam jeszcze rodzicom, ale byłam zdecydowana.

– Aha... – bąknął głupawo. – Ale wiesz, są jeszcze kursy z projektowania i w ogóle...

– Nie o to chodzi. – Wkurzyłam się.

– W takim razie dlaczego rezygnujesz?

– Chcę malować, ale nie te prace, które nam zadają, bo to idiotyzm – odpowiedziałam szczerze.

– Wiem, co czujesz. Też tak myślę. – Byłam zawiedziona, że tak łatwo przyznał mi rację. – Ale akurat ty na pewno byś się dostała na akademię przy następnej rekrutacji.

– A, dzięki.

Te słowa nawet mnie ucieszyły. Z trudem zachowałam kamienną twarz.

– Ale wracając, ten basen jest z falami i w ogóle...

Czyli nie skończył jeszcze tamtego tematu.

– Ty lepiej nie zajmuj się mną, tylko wracaj do domu malować. – Znowu się zirytowałam. – Serio myślisz, że z takimi umiejętnościami masz czas na

zabawę i głupoty?

– Przecież mówili nam ostatnio na zajęciach, że w życiu trzeba zbierać doświadczenia, nie tylko ćwiczyć – odpowiedział. Chyba nie czuł się urażony.

– Wycieczka na basen to nie doświadczenie życiowe.

– Ale od takiej wycieczki może się zacząć miłość, która potem odmieni całe życie.

– Bzdury.

W klasie często słyszałam plotki, że tamta zeszła się z tym albo że ten zerwał z tamtą. Sami zainteresowani pewnie uważali to za coś niezwykłego, ale jeśli spojrzeć z boku, ich romanse były banalne i po prostu śmieszne.

– Nie dasz się przekonać, co? – rzucił z wymuszonym śmiechem. – Wysyłasz pracę na Jesienny Festiwal Sztuki?

Organizowany podczas festiwalu konkurs miał ograniczenie wiekowe, przez co stanowił przepustkę do sukcesu dla młodych talentów marzących o karierze w świecie sztuk pięknych. Powinnam niedługo zacząć malować.

– Taki mam zamiar.

– Powodzenia.

– Tobie też.

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Sam nie chciał startować czy co?

Doszliśmy na stację i tam się pożegnaliśmy.



Nie urodziłam się bezpańska. Porzucili mnie.

Kiedy byłam kocięciem, i mama, i nasi właściciele bardzo się o mnie troszczyli. Miałam pięcioro rodzeństwa. Wielu ludzi przychodziło nas oglądać. Mamę wykańczało to nerwowo, ale ja uwielbiałam, gdy goście się nami zachwycali.

Nie trwało to jednak długo. Moje rodzeństwo zabrano gdzieś jedno po drugim, ale mnie nikt nie chciał, więc szybko zostałam wyrzucona. Byłam najmniejsza, często cofało mi się mleko mamy, do tego kiepsko słyszałam – właściciele pewnie uznali, że i tak się nie spodobam. Najślabsze kocię z miotu.

Słabe koty umierają jako pierwsze. To naturalna kolej rzeczy.

Przy Reinie chcę być silna. Dlatego nie wpraszam się do jej mieszkania, tylko śpię na kamforowcu. To idealne miejsce, bo nie zbliżają się tam owady ani inne koty.

Jedzenia nie chcę tylko dostawać. Wolałabym sama upolować. W ten sposób stałabym się silniejsza. I mogłabym pokazać Reinie, co złapałam. Reina miała chyba jeszcze jedno terytorium, bo wychodziła gdzieś, a potem pojawiała się dopiero wieczorem. Czasem siedziała w mieszkaniu do popołudnia, czasem nie było jej od samego rana do późna w nocy. Bywały dni, kiedy w ogóle nie wracała. Ścisnęło mnie wtedy w sercu.

Pewnego razu zaczęłam się martwić i poszłam jej szukać, bo mieszkanie stało puste już kilka dni. Wtedy spotkałam Chobiego.

Był cały biały tak jak ja i miał piękne futro. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Bałam się samców, bo zwykle próbowały mi coś zrobić, ale on był inny. Kiedy mnie zobaczył, rzucił tylko przyjaźnie „cześć”. Nic więcej.

– To twoje terytorium?

– Można tak powiedzieć.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Przypadkiem wtargnęłam na czyjś teren.

– Czyli teraz mnie przepędzisz?

– Takie małe kocię jak ty?

– Dżentelmen z ciebie.

Nietypowy był z niego kot.

– Jestem Chobi – przedstawił się.

– Mimi.

Podeszłam na tyle blisko, żebyśmy mogli się obwąchać. Wyczułam ludzki zapach.

– Mieszkasz u człowieka?

– Tak. Jestem jej kotem.

– Jej?

– Nie wiem, jak się nazywa. I nie potrzebuję wiedzieć. To moja ukochana.

– Dziwne.

– Tak?

– Pewnie. Jak można kogoś kochać, nie znając jego imienia? – rzuciłam zaczepnie, czując się trochę zazdrosna.

– Imię to tylko imię. Można nazwać kota „Pies”, a mimo to nadal będzie kotem, prawda?

Ogarnęło mnie dziwne uczucie, pierwszy raz ktoś rozmawiał ze mną w ten sposób. Chciałam jeszcze, ale akurat wtedy wypatrzyłam Reinę. Niosła dużą białą torbę, w której dojrzałam charakterystyczny okrągły kształt. Kocia konserwa. Czekala mnie uczta.

– Spotkamy się jeszcze? – spytałam.

– Może.

– Żadne „może”. Spotkajmy się koniecznie.

Miałam ochotę na konserwę, ale chciałam też zobaczyć się z Chobim.

– No dobrze, spotkamy się.

– Obiecujesz? Tylko nie zapomnij!

Umówiliśmy się i odbiegłam.

Kiedy dogoniłam Reinę i miauknęłam, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Zwąchałaś nowego kolegę, a teraz wracasz ze mną, co?

Z radością otarłam się tyłem głowy o jej nogę.

„Ciekawe, czy Chobi też się tak przymila do swojej właścicielki” – na tę myśl nagle zrobiło mi się jakoś smutno.

Od tamtej pory spotykaliśmy się prawie codziennie, a czasem chodziliśmy jeść do Reiny.

Chobi zupełnie nie umiał polować. Nie zdziwiłabym się, gdyby każda inna kotka straciła nim zainteresowanie, taki był w tym fatalny – mnie natomiast rozczulała ta jego niezdarność, bo moi rodzice też nie potrafili. Fajnie byłoby nauczyć się polować, no ale trudno. Chciałabym kiedyś sama coś złapać, a potem zanieść zdobycz Reinie. Kiedyś odwdzięczę się za te wszystkie konserwy.



Malowałam, gotując się w letnim upale. Miałam ochotę wziąć wąż ogrodowy i cała oblać się wodą. Klimatyzator zamontowany na oknie rzeził na pełnych obrotach, ale nie było od tego ani trochę chłodniej.

„Tamci pewnie są teraz na basenie...”

Zdecydowanie pokręciłam głową, odpychając od siebie myśl, że powinnam była pojechać z nimi. W końcu postanowiłam poświęcić życie malarstwu.

Chwilę później zza okna dobiegło znajome miauczenie. To Mimi.

Dziś przyszła z gościem. Futro miał tak samo białe jak ona, a na szyi obrozę.

„Skoro masz właściciela, jedz u siebie...”

Nie przeczę, pomyślałam tak w duchu, ale też nie wiedziałam, kto jeszcze karmi Mimi. Postanowiłam zaszaleć i otworzyłam im puszkę tuńczyka.

Mimi na sam dźwięk zaczęła się niespokojnie kręcić. Rozkosznie wtedy wyglądała. Rzuciła się na jedzenie, kiedy tylko położyłam przed nimi talerzyk. Ten drugi nieśmiało skubnął rybę i wyglądał na bardzo zdziwionego.

Od samego patrzenia na tę dwójkę zeszło ze mnie napięcie. Stwierdziłam, że zjem coś razem z nimi. Z mojej rozregulowanej zamrażarki wyjęłam kubeczek twardych jak kamień lodów.

– Może i mieszkam w strasznej dziurze, ale jak lody, to tylko häagen-dazsy!

Ostatnio często mówiłam do Mimi. Zerkąła teraz na mnie, pochłaniając tuńczyka wielkimi kęsami. Przyjemnie mieć z kim porozmawiać przy jedzeniu, nawet jeśli towarzystwa dotrzymuje kot, a sama rozmowa niewiele się różni od mówienia do siebie.

W szkole zawsze jadłam sama, bo z nikim nie znajdowałam wspólnego języka, a nie będę przecież trzymała się z kimś, kogo nie trawię, bo to czysta głupota.

Siadłam przy oknie i rozejrzałam się po pokoju. Trzy obrazy stały zaczęte. Te gotowe wcisnęłam do szafy wnękowej, z której wyjęłam przesuwne drzwi, żeby płótna się mieściły. Do tego rozkładana sofa, mały regał na książki i plastikowe szuflady na ubrania. Przenośny palnik gazowy i zlew. Mała lodówka. Przybory malarskie i zapas zupiek instant. Mój mały świat. Pod zachlapanym farbami dywanem skrzypiały maty tatami i deski podłogi, a zza ścian dobiegały rozmowy sąsiadów.

Było małe i niezbyt czyste, ale lubiłam to mieszkanie.



W oczach Reiny krył się żar. Kochałam jej siłę i pewność siebie. To wszystko, czego ja nigdy nie miałam zdobyć, bo byłam słaba.

Bez wahania poruszała pędzlem. Zdecydowanymi pociągnięciami nakładała farby. Ich zapach delikatnie wypełniał powietrze. Co ciekawe, różnił się nieznacznie w zależności od koloru.

Zebrałam się w sobie i miauknęłam na całe gardło. Nie umiem tego robić bardzo głośno, trudno mi zwrócić na siebie uwagę.

– Co tam, zgłodniałaś?

Wreszcie usłyszała. Otworzyła mi puszkę z tuńczykiem, cały czas skupiając się na obrazie. Trochę słony, ale nie mogłam narzekać. Pochłaniałam konserwę jak w transie, gdy nagle poczułam na sobie spojrzeenie. Uniosłam głowę.

Jastrząb. Mój instynkt natychmiast zareagował na charakterystyczną sylwetkę drapieżnika i spadłam z parapetu.

Reina ze śmiechu aż złapała się za brzuch.

– Taki realistyczny mi wyszedł?

Jastrząb oczywiście stanowił jedynie element obrazu. Zresztą nie mógł być prawdziwy, wystarczyło się przyjrzeć – ale ja wzięłam go za najprawdziwszego na świecie. Nigdy nie widziałam takiego ptaka, a jednak instynkt ostrzegł mnie: uwaga, drapieżnik na horyzoncie!

Reina jest naprawdę niesamowita. Czułam dumę, że mogę być u jej boku.



Malowałam do wschodu słońca, obudziłam się dobrze po południu.

Obiad zjadłam pośpiesznie w wychodzącym na drogę krajową lokalu, gdzie podają tanią wołowinę na ryżu, potem wróciłam do mieszkania.

Przed budynkiem minęłam się z sąsiadką. Pracowała w barze nocnym i zawsze nosiła mocny makijaż.

– Reina, masz gościa.

Mówiła z miłym dla ucha akcentem z prowincji.

– Tak? Dziękuję, że mi pani powiedziała. – Skinęłam głową.

Prawie nigdy nikt do mnie nie przychodzi. Kto to mógł być? Z jakiegoś powodu przypomniał mi się Masato. Nie, on na pewno nie.

Przed drzwiami czekał ktoś inny. Nie była ubrana jak zwykle, dlatego w pierwszej chwili jej nie poznałam.

– Dzień dobry – powitała mnie kobieta z sekretariatu.

– Miyu? Co ty tu robisz?

Posłała mi zawstydzony uśmiech.

– Mieszkam niedaleko... Tak naprawdę pracownicy szkoły nie powinni odwiedzać uczniów, ale... – zaczęła, dziwnie skrępowana.

Mniej więcej domyśliłam się, dlaczego przyszła.

– Mniejsza o szczegóły. – Otworzyłam drzwi. – Proszę. Tylko uprzedzam, ciasno tu, do tego mam straszny bajzel.

Nie przesadzałam. Gdyby uprzedziła, mogłabym chociaż posprzątać. Trudno, teraz i tak było za późno.

Miyu aż zapało dech, ale nie na widok opłakanego stanu mojego mieszkania. Wpatrywała się w obraz, nad którym pracowałam.

– Niesamowite... Prawdziwe arcydzieło.

Ucieszyła mnie jej reakcja. W duchu uniosłam pięść w geście zwycięstwa.

– Szkoda, że nie mam pojęcia, kiedy skończę je malować.

Mimi zwinięta w kłębek na sofie otworzyła oczy i spojrzała na Miyu.

– Ona zareagowała identycznie jak ty – rzuciłam, drapiąc kotkę pod brodą.

– O, masz kota?

– Nie tyle mam, ile czasem goszczę i daję jeść. Taki kot dochodzący.

– Zachowuje się jak zupełnie oswojona. Musi ci bardzo ufać.

– W sumie...

Umyłam ręce, przepłukałam kubki i nalałam nam parzonej na zimno herbaty jęczmiennej.

– Dziękuję. U mnie też jest kot.

– Tak?

– Bardzo podobny, też cały biały. Tylko że samiec.

Przypomniałam sobie białego kota, którego ostatnio przyprowadziła Mimi. Byłby to szalony zbieg okoliczności, gdyby mówiła właśnie o nim.

– Słyszałam, że ostatnio nie pojawiaasz się w szkole. – Nagle przeszła do sedna.

– Przestałam.

Miyu popatrzyła mi prosto w oczy i wypuściła powietrze. – Posłuchaj. Potraktuj to jako moje prywatne zdanie, nie stanowisko szkoły. Może i nie powinnam się w ogóle odzywać, ale... Z różnymi uczniami miałam już do czynienia i po prostu muszę...

Miałam dość tego jej krążenia wokół tematu.

– Powiedz wprost.

– Nie wystarczy świetnie malować, żeby poradzić sobie w życiu.

Zabolało.

– Wiem – odparłam zaskakująco ostro. Palce mi drżały.

– Może spróbujesz jeszcze raz dostać się na akademię?

Patrzyła mi prosto w oczy.

Jakaś część mnie pragnęła usłyszeć te słowa, ale usta odpowiedziały zupełnie inaczej, niż naprawdę chciałam.

– Studia i tak niewiele dają.

Odwracałam kota ogonem.

– Tak mogą mówić osoby, które je skończyły.

Wypunktowała mnie. Mówiła łagodnie, ale jej słowa trafiały prosto do mojego serca.

– Nie owijasz w bawełnę. – Tym razem powiedziałam szczerze.

– Pewnie, możesz iść od razu do pracy, ale będzie ci bardzo trudno pogodzić obowiązki z malowaniem.

Tyle to i ja wiedziałam.

– Poradzę sobie! – odpowiedziałam wyłącznie z wrodzonej przekory, podniesionym głosem, jakbym próbowała zagłuszyć fakt, że nie mam argumentów.

Mimi spłoszyła się, zaskoczona moją złością.

– Same zdolności to za mało, by wejść do świata sztuki. Pomijam kwestię tego, czy tak powinno być, ale jeśli nie skończysz studiów, nie osiągniesz poziomu, na którym będą cię brali poważnie. – Zrobiła pauzę, jednak zaczęła mówić dalej, zanim zdążyłam się wtrącić. – Oczywiście co innego, gdyby odkrył cię jakiś krytyk i wypromował na zasadach art brut.

Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

– Akurat z moimi obrazami zajdę tak wysoko, jak tylko będę chciała. Zresztą ten maluję właśnie na konkurs.

Miyu nagle się roześmiała.

– Co cię tak śmieszy? – Myślałam, że robi sobie ze mnie żarty.

– Przepraszam. Po prostu ci zazdroszczę. Gdybym miała tyle pewności siebie, moje życie pewnie potoczyłoby się inaczej.

Czułam, że nie mówi tak, by zatrzeć złe wrażenie.

– Chodzi o faceta? – podpuściłam ją.

– Nie, nie, skąd... – odpowiedziała, wyraźnie zbita z tropu.

Czyli trafiłam. Miyu nie była trudna do rozszyfrowania.

– Akurat tobie na pewno wszystko się ułoży. Świetna z ciebie babka. No i przyszedł tu, bo się o mnie martwiłaś, nie? Ludzie czują, że masz serce we właściwym miejscu, serio.

– No nie wiem...

Z jakiegoś powodu zaczęłam ją pocieszać. Co to w ogóle miało być?

Mimi ziewnęła i znowu zwinęła się w kłębek na sofie.

- Pomyślę nad tym, co mówiłaś.
- Bardzo cię proszę. I...
- Tak, wróć do szkoły. Za jakiś czas.
- Dziękuję – powiedziała z uśmiechem.



Kobieta, która wyszła z mieszkania Reiny, pachniała jak Chobi.

Czyli to ona była jego ukochaną. Od tamtego dnia kipiałam ze złości – przez niego, co do tego nie miałam wątpliwości. Później przekonałam się, że nie był jedynym powodem.

3

Miyu poradziła mi, żebym podeszła do egzaminów, jednak lato chyliło się już ku końcowi, a ja nadal nie potrafiłam zdecydować, czy próbować jeszcze raz, czy iść do pracy.

Tak się złożyło, że dwa ostatnie tygodnie wakacji spędziłam na stażu zorganizowanym przez szkołę. Zapomniałam nawet, że się na niego zgłosiłam.

„Staż” może i brzmi jak coś fajnego, tylko że zwykle jest to po prostu harówka za darmo. Z początku miałam zamiar olać sprawę, ale zmieniłam zdanie, kiedy dowiedziałam się, o które biuro projektowe chodzi – nawet ja kojarzyłam jego nazwę, takie było znane. Tworzyli tam na przykład logo hitowych filmów czy projekty tomikowych wydań bestsellerowych komiksów.

Jak przystało na firmę z tej branży, siedziba mieściła się w stylowej dzielnicy, trochę daleko od mojego mieszkania. Po długiej przerwie szykował mi się powrót do regularnego trybu życia.

Pierwszego dnia miałam tremę. Dostałam same biurowe zadania niewymagające żadnych kompetencji – spisywanie protokołów spotkań, adresowanie kopert i tak dalej – ale i tak wiele zyskałam, bo mogłam z bliska obserwować projektantów przy pracy.

Nigdy wcześniej nie miałam takiej okazji. Przede wszystkim wszyscy byli szybcy. Poza tym zdziwiło mnie, jak niesamowicie dużo materiałów

gromadzili do przygotowania jednego projektu. Nie robiłam nic nadzwyczajnego, ale byłam szczęśliwa, że jakoś im się przydadę.

Jeszcze bardziej cieszyłam się podczas przerw na lunch.

Okolica była modna, więc nie brakowało tam drogich restauracji. Codziennie któryś z pracowników zabierał mnie ze sobą i stawiał luksusowy lunch. W każdym z tych lokali było zaskakująco pysznie. Dopiero wtedy do mnie dotarło, jak kiepsko żywiłam się do tej pory. Bez porządnego jedzenia nie ma energii ani woli działania. Myślałam, że totalnie nie będę miała motywacji do darmowej pracy biurowej, ale szybko odnalazłam w tym sens.

Innymi słowy, oswoili mnie dokładnie tak, jak ja oswoiłam Mimi.

Pracownicy byli przyzwyczajeni do obecności stażystów i w ten czy inny sposób starali się nami opiekować. Szczególnie dużo uwagi poświęcał mi facet, którego wszyscy nazywali kierownikiem.

„Co za paskudny koleś” – takie pierwsze wrażenie na mnie zrobił. Używał na co dzień mocnych perfum, a wiadomo, że tego rodzaju mężczyznom nie można ufać. Na przykład mój tata, on tak robił. Kierownik był młody, ale przypominał mojego tatę.

To podobno on zdecydował, że dostanę ten staż. Pochwalił portfolio, w którym zebrałam moje dotychczasowe prace. Na jednym z naszych wspólnych lunchów z entuzjazmem opowiadałam o obrazie, który wtedy malowałam, a on słuchał z widoczną przyjemnością.

– Musisz mi kiedyś pokazać swoje dzieła na żywo – rzucił z beztróskim uśmiechem.

Poczułam wtedy, że bardzo bym chciała. Ten najnowszy obraz, którego widok tak zaskoczył Mimi i Miyu. Na pewno by mu się spodobał.

– Moje mieszkanie nie jest zbyt reprezentacyjne, ale zapraszam, kiedy tylko panu wygodnie – odpowiedziałam z dumą.

Myślałam, że odwiedzi mnie w ciągu najbliższych dni, ale w biurze zaczął się bardzo pracowity okres i nie było czasu na takie rzeczy. Niektórzy nawet nocowali w firmie. Ja też uwijałam się od rana do wieczora, w miarę swoich możliwości.

Atmosfera przypominała gorączkowe przygotowania na dzień przed juwenaliami. Świetnie się bawiłam, po części dlatego, że nie byłam odpowiedzialna za nic ważnego, ale też cieszyło mnie, kiedy na przykład dziękowano mi za przyniesienie lunchu – czułam, że na coś się tym ludziom

przydaję. Zwróciłam wtedy uwagę, że w moim dotychczasowym życiu prawie wcale nie robiłam niczego z pożytkiem dla innych.

– Dobra robota!

Wszyscy razem wznieśliśmy toast z okazji przetrwania najgorętszego okresu. Jako jedyna byłam niepełnoletnia, zatem grzecznie piłam colę. Przyszłam na ten staż z polecenia szkoły, więc nawet nie próbowałam niczego mocniejszego.

Jak się okazało, kierownik pamiętał, że obiecał przyjść obejrzeć moje obrazy. A byłam przekonana, że w tym całym natłoku zajęć zdążył zapomnieć. Uradowana wymieniłam się z nim numerami telefonu.

– Lepiej uważaj, on przepada za młodymi dziewczynami – szepnęła mi na ucho jedna z projektantek, kiedy poszłam do łazienki.

„Czyli tak wygląda ta sławna kobieca zazdrość!” – pomyślałam wtedy.

Myliłam się.



Zbliżał się koniec lata, a we mnie zaczęło się coś zmieniać. Z kocięcia stawałam się kotką.

Pragnęłam urodzić dzieci Chobiemu, nie mogłam myśleć o niczym innym. Postanowiłam powiedzieć mu to wprost.

– Weźmy ślub.

– Tyle razy ci mówiłem, że mam już dziewczynę. Dorosłą.

A ten znowu swoje. Poczułam, że muszę sprawdzić. Przekonać się, czy rzeczywiście chodziło o kobietę, która przyszła do Reiny, oraz na ile poważne stanowiła zagrożenie.

– Przedstaw mi ją.

– Nie.

– Dlaczego?

– Mimi, tyle razy już powtarzałem... Powinnaś zaczekać, aż będziesz trochę starsza.

Zrobiło mi się tak smutno, że zwiesiłam i ogon, i uszy.

Kochać się w człowieku? Przecież to bzdura. A niech sobie z nią będzie i do końca świata.



Wciąż nadąsana poszłam do atelier Reiny, głośno stawiając kroki.

Gdy jak zwykle zajrzałam do mieszkania z gałęzi kamforowca, Reina rozmawiała z kimś przez telefon.

– Ależ skąd, proszę pana...

Mówiła słodkim, przymilnym głosem, jakiego nie używała nigdy wcześniej.

To nie moja Reina. Chciałam, żeby była silna, stanowcza i nigdy do nikogo się nie wdzięczyła. Wściekłam się do reszty. Miałam ochotę zadać komuś ból. Czułam, że mogłabym upolować, co tylko zechcę.

Chyba trochę straciłam wtedy rozum.

Poszłam na spacer daleko jak nigdy. Pędziłam przez nieznane zarośla i po nieznanych murkach. Miejsca, w których nigdy nie byłam, i powietrze pełne zapachów, których jeszcze nie czułam, zwykle wzbudzały we mnie strach, ale teraz wcale się nie bałam.

Straciłam czujność i wtargnęłam na terytorium innego kota.

„Oj, tu chyba nie jest bezpiecznie” – pomyślałam, ale było już za późno.

Drogę zagradzał mi samiec o ostrym spojrzeniu. Bezpański, ale mimo to wielki. Czyli dużo jadł, a do tego trzeba było walczyć i pokonywać innych.

Miał futro w biało-czarne łaty i dużą bliznę. Końcówka jego sterczącego ogona była przekrzywiona.

W duchu nazwałam go Krzywogonem.

Patrzył na mnie teraz, jakby szacował, ile jestem warta.

Gdy postąpiłam o krok naprzód, jego oczy powiedziały wyraźnie, że nie pozwoli mi zrobić kolejnego.

– Upoluj mi jednego.

Sama byłam zaskoczona, jak słodko zabrzmiał mój głos.

– Co? – warknął Krzywogon podejrzliwie.

Ptak o długim ogonie dziobał coś na żwirze parkingu. Wystarczyło, że na niego zerknęłam – Krzywogon ruszył bezszelestnie. Powoli zbliżał się do celu. Nagle napiął wszystkie mięśnie, jednym susem zeskoczył z murku na ptaka i wgrzyzł mu się prosto w szyję. Zdobycz machała skrzydłami, rozpaczliwie próbując uciec.

– Niesamowite...

Nie potrafiłam wykrztusić nic więcej. Wspaniały pokaz. Przeszedł mnie dreszcz, każdy włoszek stanął dęba.

Ptak skonał szybko w szczękach Krzywogona. Samiec położył zdobycz przede mną.

– Nic wielkiego. Ptaki nie widzą po ciemku – powiedział jak rodzic uczący dziecko.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że Krzywogon jest ode mnie o wiele starszy.

– Mam na imię Mimi. A ty?

– Nie mam imienia.

– Mogę ci mówić Krzywogon?

– Mów, jak chcesz.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, a ja za nim.

„Ja to jednak naprawdę jestem kotką” – pomyślałam. Kierował mną instynkt.

Tamtej nocy połączyłam się z Krzywogonem.

Lato dobiegało już końca.

Nazajutrz widziałam się z Chobim, ale nie zauważył zmiany, jaka we mnie zaszła.

Pojawiły się jakieś dziwne cykady, próbowaliśmy naśladować ich „*kanakana! kanakana!*”, tylko że zupełnie nam nie wychodziło. Uśmieśliśmy się oboje.

Ostatnio przy każdej okazji proponowałam mu ślub, ale tym razem pożegnałam się, nic takiego nie mówiąc. Nie wspomniałam też o spotkaniu się następnego dnia, a mimo to on ruszył z powrotem do tej swojej kobiety, jak gdyby nigdy nic.

Gdy za nim patrzyłam, ogon opadł mi do ziemi.



Reina od kilku dni była wyjątkowo radosna. Nie zrozumiałaby moich uczuć. Staralam się jak najwięcej spać, pełna emocji, dla których nie potrafiłam znaleźć ujścia.

– Chyba znalazłam sobie pracę – opowiadała w doskonałym humorze. – Kierownik tego biura projektowego, gdzie byłam na stażu, bardzo mnie polubił. „Masz talent”, tak mi powiedział. Nie żebym sama nie wiedziała. Praca raczej ciężka, ale chyba uczynię im ten zaszczyt i przyjmę ofertę.

Oślepiała mnie jej niezachwiana siła.

Kiedy jej słuchałam, naszła mnie pewna myśl. Z nami jest tak, że mamy swoje terytorium. Niektórzy większe, niektórzy mniejsze, ale na każde przypada tylko jeden kot. Natomiast u ludzi na tym samym terenie gromadzi się bądź ile osób. Mogłoby się wydawać, że zgodnie dzielą się władzą, ale to tylko pozory. Tak naprawdę rządzi jedna.

Tacy jak Reina, czyli ci od malowania obrazów, muszą stale walczyć o małe skrawki terytorium, pokonać po drodze naprawdę wielu, a przetrwają i tak tylko najsilniejsi.

Reina właśnie taka była, dlatego dotrwała aż do teraz.

Zauważyłam jeszcze jedną dziwną rzecz: z upływem czasu ludzie z danego terenu zaczęli walczyć o inne. Kiedyś terytoria były duże, więc nie stanowiło to wielkiego problemu, ale ostatnio wszystkie bardzo się skurczyły, przez co cały tłum rywalizował o przestrzeń dla jednej czy dwóch osób.

Mimo wszystko myślałam, że Reina sobie poradzi. Niemożliwe, by ktoś tak silny i przepełniony wiarą w siebie mógł przegrać.

4

Nadchodziły coraz zimniejsze wiatry, a wraz z nimi jesień.

Rosnące wokół budynku bez nadzoru i opieki drzewa zmieniły kolory. Tylko kamforowiec pozostał zielony, choć jego małe okrągłe owoce zaczynały dojrzewać.

Wdychałam do woli zapachy jesieni, idąc po żółtych i czerwonych opadłych liściach.

Sporo urosłam. Klinowałam się w miejscach, przez które jeszcze niedawno przechodziłam bez trudu, Reina czasem aż się ze mnie śmiała.

Pewnego dnia nadszedł wielki jesienny tajfun – byłam pewna, że wiatr z deszczem porwą wszystko i rozbiją w drobny mak. Nie zgrywałam twardej skóry, Reina wzięła mnie do mieszkania i spędziłyśmy razem całą noc. Przypomniałam sobie strach, jaki czułam, gdy byłam kocięciem. Cały budynek trzeszczał i skrzypiał, coś uderzało w okiennice.

Mimo tego wszystkiego Reina malowała w całkowitym skupieniu, ani na chwilę nie tracąc spokoju.

Ja nie zmrużyłam oka, a gdy nastał ranek i zobaczyłam rozchmurzone błękitne niebo, instynktownie poczułam, że coś zmieniło się na zawsze.

O śmierci Krzywogona doniósł mi czarny kot, gruby jak beczka. Przedstawił się jako Kuro⁶.

⁶ Dosł. czarny, ciemny.

– Byłaś z nim blisko, prawda?

– Z nim, czyli...?

– No wiesz, takim kocurem z przekrzywionym ogonem.

– Krzywogonem?

– Tak go nazywałaś? Czyli dobrze trafiłem. Bardzo się cieszył z tego imienia. Dachowce rzadko ktokolwiek nazywa.

Zrobił pauzę.

– Nie żyje.

– Rozumiem.

Umarł. Ze spokojem przyjąłem ten fakt do wiadomości.

– Nie jesteś zaskoczona?

– Przeczuwałam, że może o to chodzić.

Wiedziałam, że skoro świat zmienił się aż tak, muszę być przygotowana na najgorsze.

– W związku z tym jego terytorium należy teraz do ciebie.

– Co? – Ta wiadomość była o wiele bardziej zaskakująca. – Ale dlaczego?

Inne koty nie będą się o nie bić?

– Takie mamy tutaj zasady – odparł Kuro, jakby chodziło o coś oczywistego. – No, przekazałem, co było do przekazania.

Odwrócił się.

– Dziękuję.

Chciałam wyrazić wdzięczność za to, że mi powiedział, ale Kuro źle zrozumiał.

– Nie ja o tym zdecydowałam. Jeśli chcesz dziękować, idź do Johna.

– Johna? Ale kto to...?

– Pies – rzucił, zerwał się błyskawicznym ruchem zupełnie niepasującym do jego wyglądu i zniknął.

Nie było mi smutno. Czułam tylko wielką senność, niemożliwą do pokonania, więc przez jakiś czas spałam u Reiny.

Często jej nie było.

Niedługo później znów przyszedł Kuro.

– A obchód to co, sam się zrobi? – upomniał mnie i zniknął.

Poszłam więc. Powoli przemierzałam dawne terytorium Krzywogona. Była tam opuszczona fabryka pokryta przerdzewiałą blachą, wyschnięte kanały pełne śmieci, niekończące się betonowe mury czarne od spalin.

Gdzie nie spojrzeć, smutne widoki. Krzywogon całe życie spędził, oglądając taki krajobraz.

W rogu pustego parkingu kwitł jasnoróżowy kosmos. Zrozumiałam, gdy tylko go zobaczyłam – to tam umarł Krzywogon. Ogarnął mnie smutek, od którego niemal rozpadłam się na kawałki.

Chciałam, żeby Reina mnie pocieszyła. Czułam jednak, że nie mogę się z nią zobaczyć.

Tak naprawdę byłam bardzo słaba. Moje ciało urosło, ale w głębi serca pozostałam kocięciem – gdyby Reina odkryła, jakim bezsilnym i nieprzydatnym jestem stworzeniem, pewnie by mnie wyrzuciła. Tak samo jak moi pierwsi właściciele.

Dziś znowu nie było jej w mieszkaniu. Może pojechała na ten staż czy co tam ona robiła? W każdym razie mnie to pasowało.

Spałam pod dachem przy jej oknie, wdychając delikatny zapach farb. Obudził mnie dźwięk samochodu. Było już całkiem ciemno.

Z mieszkania dobiegł głos Reiny. Ucieszyłam się i zaczęłam drapać w okiennicę. Zwykle już po chwili podchodziła do okna.

A jednak nic takiego nie zrobiła.



Nie patrzył na moje obrazy, tylko na moje ciało.

W przeciwieństwie do Miyu nawet nie rzucił okiem na płótno, kiedy zaprosiłam go do środka. Zresztą, jak się nad tym zastanowić, pewnie było tak od samego początku. Po prostu nie chciałam tego przyznać. Wolałam myśleć, że docenia mój talent.

Kierownik odwiózł mnie swoim samochodem. Podczas jazdy mówił całe mnóstwo rzeczy, których wcale nie myślał, a ja słuchałam go zachwycona.

Idiotka ze mnie.

Leżałam teraz pod nim na sofie. Chciało mi się wymiotować od jego perfum. Nie tak to miało wyglądać. Doskonale rozumiałam intencje kierownika. Wyszło na to, że zaprosiłam go sama z siebie.

„Lepiej uważaj, on przepada za młodymi dziewczynami”.

Zrozumiałam, że tamta projektantka naprawdę chciała mnie ostrzec.

„To w sumie też element pracy. Możliwe, że dostanę tę posadę, jeśli zrobię, co będzie chciał. Takie transakcje też trzeba czasem zawierać. Może powinnam pozostać bierna?”

Gdy tylko te myśli przyszły mi do głowy, poczułam wściekłość wzbierającą z samego dna brzucha. Nie mogłam sobie wybaczyć, że choćby przez moment brałam je pod uwagę. Że dałam się zmanipulować.

Czułam jego mdląco słodkie perfumy. Zaczął przesuwać dłonią po moim ciele. Bałam się, było mi wstyd, nie potrafiłam się ruszyć.

– Urocza jesteś, wiesz?

Dostałam gęziej skórki z obrzydzenia.

– Przestań.

Nie cofnął ręki.

– Nie dotykaj mnie! – Krzyk wydobyty z głębi ciała sprawił, że paraliż minął.

Złapałam pierwszą rzecz, jaką miałam pod ręką – marynarkę, którą zdjął – i rzuciłam nią w niego. Spróbowałam wstać, korzystając z chwili zaskoczenia, ale złapał mnie od tyłu.

– Nie dotykaj, mówię!

Skręciłam tułów i zaatakowałam łokciem, celując w splot słoneczny.

Trafiłam idealnie. Nawet zbyt idealnie.

Kierownik stoczył się na podłogę, przewracając stos książek i stojące obok płótna.

– Czekaaj, Reina, ty tak na poważnie?

Nie mogłam patrzeć na przyklejony do jego twarzy uśmiech. Już się nie bałam.

– Tak! Wynoś się!

Wzięłam jakiś magazyn leżący przy sofie i rzuciłam mu w twarz.

– To jakieś nieporozumienie... Pogadajmy, dobrze?

Nie miałam zamiaru nabrać się na ten uśmiech. Żałosne, że naprawdę chciałam, by taki śmiech mnie polubił.

Mój wzrok padł na leżącą w częściach sztalugę. Chwyciłam jedną z trzech drewnianych nóg. Wtedy zobaczył, że nie żartuję, wycofał się do przedpokoju i wyszedł. Opadłam na podłogę, nadal trzymając zaimprovizowaną broń.

Otworzyły się drzwi. Wracal? Skostniałam na samą myśl. Do środka zajrzała moja sąsiadka.

– Reina, w porządku?

Na widok jej twarzy pokrytej grubą warstwą makijażu poczułam taką ulgę, że zebrało mi się na płacz. Miałam oczy pełne łez – ten fakt przyprawił mnie o furię.

„Jak on śmiał doprowadzić mnie do płaczu?!”

– Czekaj!

Wsunęłam klapki i wybiegłam na zewnątrz.

Kierownik palił papierosa przed samochodem. Kochał to auto, było importowane z Francji czy skądś tam. Stał wyraźnie niezadowolony. Zerknął na mnie z krzywym uśmiechem. Pewnie się zastanawiał, co chcę powiedzieć.

– Ja ci pokażę, sukinsynu!

Kiedy zauważył moją minę, w panice wsiadł za kierownicę. Z całej siły kopnęłam drzwi od jego strony. Blacha wgięła się z trzaskiem.

Zwabieni hałasem sąsiedzi wychodzili z mieszkań.

Kierownik ruszył z piskiem opon i odjechał. Z oddali kilka razy rozległ się klakson, facet pędził pewnie jak głupi.

– Rei-na! Rei-na! – skandowała moja sąsiadka jak wielbicielka teatru kabuki wołający z widowni imię ulubionego aktora. Inni też zaczęli pokrzykiwać, niektórzy bili brawo.

– To nie przedstawienie! – wrzasnęłam i wróciłam do pokoju.

Nadal czułam jego zapach. Byłam wkurzona – i na niego, i na siebie. Gdzie ja miałam głowę?

Otworzyłam okno, żeby przewietrzyć. Po chwili do środka wskoczyła Mimi i bez miauknięcia weszła mi na kolana. Jej ciepło było najlepszym ukojeniem.

– Mimi, zostań dzisiaj ze mną.

Tamtej nocy spała przy mnie na sofie.

Wolałam przez jakiś czas o niczym nie myśleć.



Znów zmieniły się pory roku – nadchodziła zima.

Reina przestała poświęcać cały swój czas malowaniu, teraz robiła w swoim atelier inne rzeczy. Czytywała książki, przyrządzała nalewki owocowe, próbowała robótek ręcznych... Nie potrafiła siedzieć beczynn timer. Ciągłe miała zajęte dłonie, ale już nie malowaniem.

Od kiedy wyjęła z szafy kotatsu², coraz częściej leżałam pod nim zwinięta w kłębek. Bez przerwy chciało mi się spać.

² Niski stolik z wbudowanym grzejnikiem (dawniej pojemnikiem na rozgrzane węgle), z ramą nakrywaną dużą kapą, na którą kładzie się blat – w ten sposób siedzący przy nim na podłodze są okryci od pasa w dół i mogą się ogrzać.



Zaczął się drugi trymestr.

Na wykładach nie nadążałam, bo za dużo ich wcześniej opuściłam, a na zajęcia praktyczne nie oddałam żadnych sensownych prac, bo zabrakło mi czasu. W wakacje nawet ich nie tknęłam.

Zasnęłam w ławce, nauczyciel kazał mi wyjść. Tak też zrobiłam. Stałam przed wejściem z puszką napoju w ręce, kiedy podeszła do mnie Miyu. Miałam wrażenie, że nie widziałam jej od bardzo dawna.

– Dziękuję, że przyszłaś do szkoły.

Stuknęła swoją puszką z kawą o moją.

– Po prostu się za tobą stęskniłam.

Miyu zareagowała śmiechem, ale ja mówiłam całkiem poważnie.

Napisałam o zajściu z kierownikiem do wszystkich, których znałam w tamtym biurze, ale w szkole nic nie powiedziałam. Nie wiedziałam, czy Miyu wie o całej sprawie.

– Jednak nie wystartowałaś w konkursie?

Dopiero wtedy sobie przypomniałam. Termin oddania prac minął już dawno.

– Ze szkoły wziął udział tylko Masato. Ten z twojej grupy.

On? Serio?

– Przed wakacjami zdobył wyróżnienie w innym konkursie. Profesor Ariya, jeden z jurorów, wziął go potem pod swoje skrzydła.

Masato? Kiedy on zdążył się tak wyrobić?

– Naprawdę? Świetnie!

Chciałam powiedzieć szczerze, ale musiałam się zmusić do uśmiechu.

– Dlatego ty też daj z siebie wszystko.

Zabolało, tym bardziej że miała wyłącznie dobre intencje.

– Jasne. – Westchnęłam przeciągle. – Wiesz, chyba coś zrozumiałam. Od zawsze myślałam, że mam talent, ale... Teraz widzę, że brałam na poważnie to, co faceci mówili z zupełnie innych powodów. Tak naprawdę wiele mi jeszcze brakuje.

Miyu słuchała w milczeniu, kiedy nagle zza moich pleców dobiegł czyjś niski głos.

– Otóż to, z ciebie jest jeszcze pisklak! I to nieopierzony!

– Profesor Kamata?

Wykładowca weteran. W dłoni trzymał paczkę papierosów.

– Proszę się nie wtrącać ludziom do rozmowy!

Posłałam mu gniewne spojrzenie. Miałam ochotę wyrwać te żalosne resztki włosów, które miał na głowie. Nie musiał nic mówić, sama doskonale wiedziałam, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– Ale jest dla ciebie nadzieja, skoro zdałaś sobie z tego sprawę – rzucił tylko i poszedł do miejsca dla palących.

Normalnie chyba nic nie podniosłoby mnie bardziej na duchu, ale wtedy wcale nie poczułam się lepiej.

Masato cały ten czas ciężko pracował. A ja nie robiłam nic.



Reina leżała na podłodze. Podeszłam i przytuliłam się delikatnie.

– Przegrałam z nim... Nie, ja nawet nie stanęłam do walki. W końcu nie wysłałam żadnej pracy – mówiła, głaskając mnie. – Co ja teraz zrobię? Przecież potrafię tylko malować. Mimi, wszystko do mnie wraca, wiesz? Wszystko, co mówiłam do tych, od których uważałam się za lepszą... Te wszystkie: „jeśli nie masz talentu, lepiej daj sobie spokój”...

Reina cała drżała.

– Pomóż mi, proszę. Brzydzę się sama sobą...

Delikatnie zlizawałam łzę, która spływała jej po policzku. Była ciepła. Smakowała życiem.

Siła Reiny znikwała. Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślałam o Chobim.

Bardzo długo go nie widziałam. Był mniejszy, niż pamiętałam – widocznie sporo urosłam.

Krępowalam się, za to on rozmawiał ze mną jak z dobrą znajomą, którą spotykał codziennie.

– Będzie dobrze, Mimi. Wszystko będzie dobrze.

Powtarzał to w kółko.

– Skąd wiesz?

Przy Chobim wpadałam w słodki ton, choćbym i nie chciała.

– Żaden człowiek nie jest zawsze silny, ale żaden nie jest też wyłącznie słaby. – Zrobił pauzę. – No i gratuluję – dodał, patrząc na mój powiększony brzuch.

Nosiłam w nim młode. Dzieci Krzywogona. Koniec końców dorosłam szybciej niż Chobi.

Zawsze mu wierzyłam, ale tym razem nie potrafiłam przekonać się do jego słów. Czułam trudny do opanowania niepokój.



Zacząłam przygotowania do porodu. Nie byłam już całkiem sobą. Z „ja” zmieniałam się w „my”. Oszczędzałam siły, których nigdy nie miałam wiele, na moment rozwiązania.

Wypełniła mnie mieszanina odwagi, która kazała mi bronić młodych przed każdym, kto chciałby mi je odebrać, i przerażenia na myśl o tym, co dzieje się z moim ciałem. Sama nie wiedziałam, co czuję.

Przyświecała mi tylko jedna myśl: pod żadnym pozorem nie sprawić problemu Reinie.

Ona leczyła teraz rany. Nie chciałam jej martwić, gdy sama była osłabiona.

Im bliżej porodu, tym większą kontrolę przejmował nade mną instynkt. On wiedział, co powinnam robić. Schowałam się we wspólnym składziku przy budynku Reiny. Nazbierałam szmatek i umościłam sobie legowisko w luce między nartami a stosem kartonów. Zimowy chłód powoli pozbawiał mnie energii.

Kiedy zaczęły się bóle, wiedziałam już na pewno, że nie dotrwam do końca.

Byłam najslabszym kocięciem z miotu, mizernym i przygłuchym – nie mógł tego zmienić fakt, że stawałam się też matką.

Urodziłam pierwsze. Rozerwałam pęcherz, wylizałam pyszczek. Gdy usłyszałam jego cieniutki pisk, poczułam nieskończoną radość. Pomyślałam wtedy, że warto było przyjść na ten świat.

– Mimi... – dobiegł mnie głos Krzywogona.

Akurat w takim momencie mój słaby słuch nie pozwalał mi rozróżnić słów.

– Co mówisz, Krzywogonie?

Spróbowałam podejść do niego bliżej. Koniecznie chciałam usłyszeć. Sama nie wiem, kiedy rozkwitły wokół mnie blad różowe kosmosy. Pięknie pachniały.

Krzywogon był coraz dalej.

– Zaczekaj...

Wtedy uderzyła fala bólu.

– Aaa!

Ktoś gryzł mnie w ogon. Zniknął Krzywogon, zniknęły kosmosy. Byłam z powrotem w ciemnym składziku.

To Chobi mnie ugryzł.

– Co ty tu robisz? – Czułam gniew, że wtargnął na moje terytorium.

– Idę po twoją panią – powiedział zupełnie spokojnie.

– Nie! Pilnuj swojego nosa! – Cała się zjeżyłam.

– Ale inaczej możesz nie przeżyć!

Zignorował mój sprzeciw i wyskoczył w śnieg na zewnątrz.

Aż do końca nie potrafiłam być silna. Nie wiedziałam, czy to poród tak bolał, czy moje serce, ale cierpiałam nie do wytrzymania.

Pomyślałam, że Reina na pewno nie zechce uratować czegoś tak słabego jak ja.



Mimi przestała się pokazywać. Chyba nawet ona mnie porzuciła. A przecież czekałam. Nawet kupiłam konserwy dla kotów.

Coś białego przebiegło za oknem.

Mimi?

Otworzyłam okno. Na zewnątrz stał biały kot z obrożą na szyi. Skądś go znałam. To ten, którego kiedyś przyprowadziła Mimi.

Zaczął biec, zerkając na mnie, jakby chciał mnie gdzieś zaprowadzić. Pobiegnęłam za nim.

Zatrzymał się przy wspólnym składziku. W środku znalazłam dopiero co narodzone, piszczące cieniutko kocię i zakrwawioną Mimi.

– Co teraz? Co robić?!

Byłam w szoku, ale musiałam działać. Zaczęłam wydzwaniać po kolei pod wszystkie numery, jakie miałam zapisane w kontaktach.

Pierwszy odebrał Masato.

– Zaraz tam będę.

Przyjechał taksówką, choć wątpię, by wiele zrozumiał z mojej bezładnej paplaniny przez telefon.

6

Nadeszła następna wiosna.

Moje kocięta zapełniały całe atelier Reiny.

Tamtego wieczoru jakiś człowiek zwany Masato zabrał mnie i Reinę do kliniki. Tam urodziła się reszta miotu. Na brzuchu została mi wielka blizna, która co prawda nie wygląda zbyt ładnie, ale pomyślałam sobie, że bardzo bym teraz pasowała do Krzywogona.

Reina nie odrywała wzroku od moich kociąt.

„Nie wolno ci ich wyrzucić. Nie pozwolę na to”.

– Mimi, nie rób takiej groźnej minki. Znajdę każdemu z nich wspaniałego właściciela.

Obdzwoiła wszystkich znajomych i rzeczywiście było, jak powiedziała – moje dzieci trafiły do rąk naprawdę cudownych ludzi. Sprawdziłam każdego. Gdy któryś mi się nie spodobał, chowałam kocięta, póki sobie nie poszedł.

Reina namalowała obraz ze mną i całą piątką moich maleństw. Patrzyłam na niego, myśląc z nadzieją, że wszystkie mają się dobrze.

Zmieniło się coś jeszcze. Po porodzie i odchowaniu młodych zostałam u Reiny już na stałe.

Przygarnęła mnie. Byłam jej kotem.

ROZDZIAŁ III

Niebo i sen

1

Pokłóciłam się z najlepszą przyjaciółką.

Byłyśmy z Mari nierozłączne od podstawówki. Uwielbiałam ją.

Poznałyśmy się w czwartej klasie. Przez jakąś poważną chorobę opuściła rok, dlatego była ode mnie starsza, ale zupełnie nam to nie przeszkadzało.

– Wiesz, Aoi? Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, pomyślałam sobie, że jesteś zupełnie jak ja – powiedziała mi Mari jakiś czas potem.

Ucieszyłam się, bo ja pomyślałam dokładnie to samo.

Spędzałyśmy czas w szkole i u siebie nawzajem, nasi rodzice szybko zaczęli urządzać wspólne spotkania. Byłam jedynaczką, ale uważałam Mari za swoją prawdziwą siostrę. Chociaż nie – podejrzewam, że gdybym miała rodzeństwo, nie czułabym z nim takiej więzi jak z nią.

Nauczyciele i rodzice mówili wręcz, że nie mogą nas rozróżnić – pewnie przez to, że nie odstępowałyśmy się na krok. Coraz bardziej przypominałyśmy się nawzajem z wyglądu i charakteru. Byłyśmy duchowymi bliźniaczkami.

Ulubiony przedmiot w szkole (plastyka), ulubione jedzenie, wszystko miałyśmy takie samo. I programy w telewizji, i piosenkarzy. Czasem ze zdziwieniem zdawałam sobie sprawę, że Mari nuci pod nosem piosenkę, która chodziła mi po głowie od dobrej chwili. „Niemożliwe! Przecież to żaden hit!” – śmiałyśmy się jak głupie.

Nawet podobali nam się ci sami chłopcy.

Nie miało to wpływu na naszą przyjaźń, bo ten, dla którego obie na poważnie straciłyśmy głowę, był postacią z komiksu. Godzinami dyskutowałyśmy o tym, co w nim lubimy. Ja opowiadałam, gdzie chciałabym z nim pojechać i jak spędzilibyśmy tam czas, a ona wymyślała, co by wtedy mówił.

Mari i ja przeszłyśmy okres dojrzewania w naszym wspólnym świecie, świetnie się przy tym bawiąc. Obie lubiłyśmy plastykę, więc przygotowałyśmy rysunki związane z tą mangą, w której występował nasz ukochany chłopiec, i wysłałyśmy w liście do autorki. Kiedy dostałyśmy od

niej kartki noworoczne (po jednej dla każdej!), po prostu skakałyśmy z radości.

Z początku rysowałyśmy dla zabawy albo żeby pokazać nasze dzieła rodzicom, ale nabierałyśmy coraz większej ochoty na stworzenie czegoś bardziej skomplikowanego. Zamiast postaci z cudzych komiksów zaczęłyśmy tworzyć naszych własnych bohaterów.

Mari wymyślała fabułę, ja zajmowałam się stroną graficzną. Ona lepiej ode mnie wiedziała, co chcę rysować.

Kiedyś nawet skserowałyśmy nasz komiks, spięłyśmy strony zszywaczem i wystawiłyśmy na sprzedaż na konwencie. Były takie, gdzie można było to robić. Nie sprzedałyśmy ani jednego egzemplarza, ale miałyśmy niezły ubaw.

Co prawda pracę znalazłyśmy sobie w innych firmach, ale Mari przychodziła do mnie niemal codziennie i rozmawiałyśmy o naszym świecie, o naszych komiksach. Postanowiłyśmy zacząć drukować je w maleńkich nakładach w profesjonalnej drukarni i wtedy zaczęły się sprzedawać. Na jednym konwencie zagadnął nas przedstawiciel pewnego wydawnictwa. Pracował w redakcji czasopisma mangowego, które znał dosłownie każdy.

Ktoś naprawdę zwrócił na nas uwagę! Cieszyłyśmy się tak jak wtedy, gdy pierwszy raz dostałyśmy odpowiedź od naszej ukochanej autorki.

Teraz wiem, że przez to wszystko się między nami popsuło.

Zacząłyśmy pracować nad nowym komiksem dla czasopisma, ale czas mijał, a my nie mogłyśmy go skończyć.

Siedziałyśmy naprzeciwko siebie w fast foodzie z kurczakami.

– Przepraszam, Aoi – powiedziała Mari.

Jadłam w milczeniu, z grobową miną, brudząc sobie palce tłuszczem.

Mari straciła wenę. Minał termin, który ustaliłyśmy, potem ostateczny termin wyznaczony przez redakcję, a ona wciąż nie mogła wymyślić fabuły.

A bez niej nie mogłam rysować.

Do tej pory tworzyła historie dla mnie, tym razem musiała jednak napisać coś dla czytelników – nieokreślonej grupy osób pozbawionych twarzy. Byłam pewna, że skoro potrafiła wymyślić coś dla mnie, da radę zrobić to samo dla każdego. Sądziłam, że po prostu jej się nie chce. Wzmianki o złym samopoczuciu brałam za wymówki.

Straciłam z oczu przyjaciółkę – całą uwagę skupiłam na bezcennej szansie na debiut, która wyślizgiwała mi się z rąk.

Mari dalej mamrotała jakieś usprawiedliwienia, a ja pierwszy raz w życiu byłam na nią zła. Powiedziałam wtedy coś naprawdę strasznego.

– Najlepiej, żebyś zdechła.

Przyjęła moje słowa w milczeniu. Nigdy nie zapomnę jej twarzy – zrobiła się blada jak ściana.

Następnego dnia stało się tak, jak powiedziałam.



Przyszła najzimniejsza, najstraszniejsza pora roku. Zwierzyny było za mało, by się najęść i utrzymać w zdrowiu, a w dodatku chłód bezlitośnie pozbawiał sił.

Zima to czas, gdy słabi umierają.

Kuro nie wiedział, ile już razy zdołał ją przetrwać. Szedł ciężkim krokiem, chroniony gęstym futrem, pod jego skórą trzęsła się gruba warstwa tłuszczu. Mniejsza o wrażenia estetyczne – w takich warunkach tłuszcz ratował życie.

Nie pamiętał, jakiego koloru był naprawdę, ale teraz na jego sierści mieszały się wszelkie odcienie między brązem a czernią.

Obchód terytorium w taki ziąb to istna mordęga.

– Zestarzałem się, cholera... – mruknął pod nosem, ale żaden inny kot go nie usłyszał.

Po śmierci Krzywogona Kuro stał się najsilniejszym dachowcem w okolicy. Nie miał już przyjaciół. Pozycja na szczycie oznacza samotność – inne koty wołały się do niego nie zbliżać. Czasem tylko charakterni młodszy rzucali mu wyzwanie, ale szybko uciekali lizać rany.

Pysk miał cały w bliznach, lecz jego futro i ogon były nietknięte jak u kota domowego. Jeszcze nigdy nie odwrócił się do rywala grzbietem. Rządził okazałym terytorium. Na dodatek musiał też sprawdzać tereny innych kotów. John go o to poprosił, a Kuro miał wobec niego dług wdzięczności.

Nie posiadał stałego leża ani żerowiska. Całe miasto uważał za swój dom.

„Gdzie by tu dzisiaj zjeść obiad...?”

W umyśle kocura pojawiła się długa lista możliwości. Kocie konserwy, którymi chętnie karmiły starsze panie w parku? Lokal z chińszczyzną, gdzie nigdy nie zamykali drzwi na zaplecze? Albo kosze na śmieci na tyłach włoskiej restauracji...

„A może tamto mieszkanie? Dawno nie jadłem ich suchej karmy”.

Kuro podjął decyzję i ruszył w drogę. Gdy szedł coraz dalej od stacji, drogi robiły się szersze, a wysokich budynków ubywało. Minął nagie drzewa, które zrzuciły już wszystkie liście, i jego oczom ukazała się świątynia. Za nią rozciągało się osiedle identycznych domków. Gdziekolwiek by skręcił i którąkolwiek ulicą by przeszedł, wszystko wyglądało tak samo – Kuro aż kręciło się w głowie. „Nic dziwnego, że inne koty się tu nie zapuszczają” – pomyślał.

Jego celem był właśnie jeden z tych domów.

Poprzednio odwiedził to miejsce jeszcze w lecie. Minęło sporo czasu. Zaniebawił odwiedziny, nie mogąc spuścić oka z młodszych kotów walczących między sobą o terytoria.

Ostatnio trawniki się zieleniły, teraz były zwiędnięte i suche – Kuro czuł pod łapami ich ciekawą fakturę. Kiedy już się nią nacieszył, wskoczył na murek biegnący między budynkami, potem na plastikową wiatę garażową. Stamtąd dostał się na balkon na pierwszym piętrze.

Walały się tam puste doniczki, zardzewiały sekator i inne narzędzia ogrodnicze. Między zmarniałymi sukulentami a klimatyzatorem leżała aluminiowa miska.

Kuro wskoczył na klimatyzator i spróbował zajrzeć do mieszkania, ale widział tylko zasłonę w duży kwiatowy wzór. Przywarł do szyby, była chłodna.

Miauknął przymilnie. Mógłby się pożegnać z pozycją najsilniejszego kocura w okolicy, gdyby usłyszał to teraz inny kot, ale w pobliżu nie było żadnego.

Gdy dotknął łapą aluminiowej ramy, na metalu został ślad pięciu poduszczyk. W rogu okna zalegał kurz. Chyba dawno nikt go nie otwierał. Rośliny też wyglądały na zaniebane.

– Nie ma ich?

Zawsze przyjmowały go tu dwie kobiety i chętnie dawały mu jedzenie...

Wrony krakały głośno, jakby się z niego naśmiewały, od razu poczuł falę irytacji. W aluminiowej misce zalegała brudna deszczówka. Czyli żaden inny kot tu nie przychodził.

Kuro ziewnął szeroko i jeszcze chwilę czekał, nie chcąc się tak łatwo poddać, ale nic nie wskazywało na to, by miały mu otworzyć. Specjalnie wybrał się do nich po tak długiej przerwie, a tu nic.

– W ogóle nie szanują mojego czasu...

Ruszył na obchód kolejnego terenu, ignorując pustkę w żołądku.



Obudziło mnie krakanie wron.

W pokoju zrobiło się cieplej. Czułam słońce przenikające przez grubą zasłonę w duże kwiaty.

Z początku nie wiedziałam, czy jest rano czy po południu. Wygrzebując się z łóżka, zobaczyłam swoje odbicie w lustrze: brudna piżama, którą nosiłam sama już nie wiem od ilu dni, do tego rozczochrane włosy. W domu panowała cisza, rodzice dawno wyszli do pracy.

Byłam głodna, mimo że nic nie robiłam. Zeszłam na parter i ruszyłam do kuchni. Na stole leżała kanapka zawinięta w folię, ale nie miałam na nią ochoty. W lodówce znalazłam opakowanie eklerów. Smaczny był tylko pierwszy kęs, potem zrobiło mi się niedobrze od nadmiaru cukru i wyrzuciłam ponad połowę.

Na zewnątrz wrony nadal krakały hałaśliwie. Było ich chyba więcej niż przedtem. Pewnie przeszukiwały śmieci całym stadem. Ktoś musiał zostawić worek poza wyznaczonym miejscem. Nie miałam siły pójść sprawdzić. Od dawna nie wychodziłam na zewnątrz.

Z trudem powlokłam się schodami na piętro.

Padłam na łóżko, naciągnęłam koc na głowę i zasnęłam, zwinięta w kłębek jak embrion.

Usłyszałam ciche dzwonienie.

W moim pokoju stała Mari z czasów podstawówki.

Przy kolorowej plecionej bransoletce miała zawieszony dzwoneczek. O ile dobrze pamiętam, tego typu bransoletki nazywały się misanga. W tamtych czasach bardzo modne było robienie takich z nici do haftowania. Mari wychodziły piękne, natomiast ja kiepsko sobie radziłam z robótkami ręcznymi, ale ona i tak z radością nosiła tę, którą dla niej zrobiłam. Podobno kiedy misanga się zerwie, spełni się życzenie noszącej ją osoby.

– Przepraszam, Mari – powiedziałam, chwytając jej drobną dłoń. Dzwoneczek zadzwonił.

– Nie szkodzi, Aoi. – Uśmiechnęła się łagodnie.

Ulżyło mi. Pomyślałam, że chętnie bym się czegoś napiła – wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że stoję z kubkiem w dłoni w biurowej kuchni w mojej

pierwszej pracy.

Wnętrze pomieszczenia tonęło w ciemności i wiedziałam, że coś się tam czai. Mimo to nie mogłam wyjść.

– Aoi!

Mała Mari przyszła mi na ratunek.

– Ja sobie poradzę. Uciekaj, Aoi.

Skoczyła w ciemność, a ja uciekłam w panice.

Porzuciłam ją.

Tym razem znalazłam się w pustym, nieużywanym basenie. Na wyłożone małymi płytkami dno ciekła woda, gdzieś leżały worki ze śmieciami, niektóre podziurawione, z otworów wysypywały się odpadki.

Trafiłam tu, bo porzuciłam Mari.

– Przepraszam...

Znów dzwoneczek.

– Aoi! – Mari siedziała na słupku startowym. – Ty możesz uciekać – powiedziała ze słodkim uśmiechem.

– Mari...

Przebaczyła mi. Poczułam ogromne ukojenie, ale równocześnie ogarnęło mnie przekonanie, że to nieprawda. Doskonale wiedziałam – to nie Mari, tylko sen stworzony przez mój umysł, by mnie chronić.

Mokra gazeta leżąca na dnie basenu poruszyła się jak żywe stworzenie. Z jej wnętrza dobiegło krakanie.

Wtedy się obudziłam. Za oknem słyszałam wrony.

Spotkałam się z Mari we śnie. Na tym świecie już jej nie było.

„Najlepiej, żebyś zdechła”.

Dzień po tym, kiedy to powiedziałam, u Mari nastąpiła nagła śmierć sercowa.

Jej mama zadzwoniła do mnie wtedy z jej numeru i przekazała wieści. Nie wiadomo, co było przyczyną. Krew Mari po prostu przestała krążyć.

Od urodzenia miała słabe serce.

Ja jednak wiedziałam. To ja ją zabiłam.

Chciałam natychmiast pobiec do ich domu, ale gdy tylko wyszłam za próg, nagle straciłam dech, a w klatce poczułam rozrywający ból. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, tak jakbym mdlała, nie mogłam ustać na nogach.

To ponoć często spotykane schorzenie psychiczne, mniejsza o jego nazwę.

Od tamtej pory nie ruszałam się z domu nawet na krok.



Kiedy wychyliłam się za blat kotatsu, mama wyszła spod kapy i przewróciła się na grzbiet.

Wiedziałam od niej, że najlepiej jest zagrzeć się pod spodem, potem wyjść i schłodzić się na kapie, po czym znowu zanurkować pod blat.

– Mamo, patrz! – zawołałam.

– Patrzę, Kukki, patrzę.

Baczenie wpatrywała się we mnie, strzygąc uszami.

Jestem kocięciem mojej mamy, nazywam się Kukki. Reina nadała mi takie imię, bo mam białe futro z pasami w kolorze czekolady, które według niej tworzą wzór jak na marmurkowych ciasteczkach, a ciasteczko to *cookie*. Ja nie wiem, co to takiego, ale pewnie coś wspaniałego.

– Uwaga, skaczę!

Tak powiedziałam, ale skok wymagał odpowiedniego przygotowania. Chodziłam w tę i z powrotem po blacie, wychylałam się poza krawędź, to znowu chowałam. Powoli nabierałam odwagi, by tego dokonać.

Wreszcie odbiłam się z całej siły i skoczyłam.

Pach. Wylądowałam na kapie tuż obok mamy.

– Udało się! Ale super!

– Wspaniale, jakaś ty zdolna! – zareagowała mama radośnie.

Przytuliła mnie i zaczęła wylizywać futro. Trochę laskotało, było mi bardzo przyjemnie. Zamruczałam z zadowoleniem.

– Wiesz, nauczę się skakać z o wiele, wiele wyższych miejsc – powiedziałam, ocierając się o mamę tyłem głowy.

– Wierzę w ciebie.

– Będę skakać z sufitu, z dachu, skąd tylko zechcę!

Czułam, że na pewno dam radę.

W mieszkaniu było kilka dobrych punktów do skakania: sztaluga Reiny, stos czasopism, szafa wnękowa z wyjętymi drzwiami. Chciałam podbić je wszystkie wspólnie z mamą.

– Na pewno, Kukki.

Mama znowu zaczęła mnie lizać.

Mam czworo rodzeństwa, wszyscy poszli już do nowych właścicieli. U Reiny zostałam tylko ja. Byłam najmniejsza i schorowana, dlatego nikt

mnie nie przygarnął. Smuciło mnie to, że mnie nie chcieli, ale bardzo się cieszyłam, że mogę zostać z mamą.

Ćwiczyłyśmy skoki, kiedy nagle powiało chłodem. Drzwi do mieszkania były otwarte.

– Już jestem!

Reina wróciła.



Kiedy weszłam do mieszkania, Kukki przydreptała mi na powitanie, trzymając się tuż za swoją mamą.

Mimi najpierw mnie obwąchała, a potem otarła się tyłem głowy o moją nogę.

– Pachnę jak coś z zewnątrz? – zapytałam.

Powąchałam się na próbę, biorąc z niej przykład.

Nie ma co kłamać – uwielbiałam kocięta do szaleństwa. Kiedy patrzyłam na Kukki, moje mocne postanowienie słabło, ale nie mogłam sobie na to pozwolić.

Usiadłam przy kotatsu razem z obiema kotkami.

– Znalazłam kogoś, kto może wziąć Kukki.

Mimi musiała zrozumieć, bo cała się zjeżyła. Pewnie chciała już zawsze opiekować się swoim najmniejszym i najsłabszym młodym. Tylko że dwa koty to za wiele, kiedy mieszka się samemu. Pół dnia spędzałam w szkole, poza tym musiałam jeździć na różne plenery w związku z przygotowaniem do egzaminów na akademię.

– Mimi, posłuchaj. To pani z sąsiedztwa, będziecie się mogły z Kukki spotykać, kiedy tylko zechcecie.

Zignorowała mnie, chwyciła Kukki zębami za skórę na karku i zanurkowała pod blat. Mała kotka zamiauczała. Ona pewnie niczego nie rozumiała.

Mimi wyszła sama i pacnęła mnie łapą w nogę, zupełnie jakby mówiła: „Ona jeszcze nie jest gotowa”.

Po południu następnego dnia przyszła nowa właścicielka Kukki. Mieszkała po sąsiedzku, moja babcia ją znalazła. Słowo daję, polegałam na babci we wszystkim.

Kobieta wiekowo plasowała się mniej więcej między babcią a mną i jak na swój wiek była ubrana całkiem stylowo.

Gdy zobaczyłam, co miała dla mnie w prezencie, niechcący wybuchnęłam śmiechem.

– Wie pani, ona wabi się Kukki.

– Ojej, naprawdę? – roześmiała się elegancko.

Przyniosła ciasteczka, od których wzięło się to imię.

– W takim razie ja też będę ją tak nazywać.

– Proszę na nią mówić, jak pani wygodnie.

– Kukki to przeurocze imię dla kotki. Bardzo mi się spodobało.

Na szczęście wydawała się sympatyczna.

– Miała pani już kiedyś kota? – zapytałam na wszelki wypadek, robiąc herbatę.

– Tak, kiedy córka była mała... Dziesięć, prawie dwadzieścia lat temu. Gdy umarł, córka wypłakiwała sobie oczy. Myślałam, że już nigdy nie wezmę następnego.

– Cieszę się, skoro ma już pani doświadczenie.

Wsadziłam ulubiony kocyk Kukki i foliową torebkę ze żwirkiem do nowiusieńkiego transportera, który przyniosła ze sobą kobieta. Kotka z wielkim zainteresowaniem obwąchała nieznaną przedmiot, po czym sama weszła do środka. Bezproblemowy maluch.

Kobieta kucnęła przed Mimi.

– Wezmę do siebie twoje maleństwo, dobrze?

W oczach Mimi błysnęła wrogość. Czym prędzej wzięłam ją na ręce. Miała nastroszony ogon, a to sygnał silnych negatywnych emocji.

– Bardzo się cieszę, że u mnie zamieszkaś, Kukki – powiedziała do zdumionego kocięcia zamkniętego w transporterze.

Mimi zeskoczyła mi z rąk i zaczęła z całej siły ostrzyć pazury na swoim drapak, jakby próbowała dać upust zbyt gwałtownym uczuciom.

Kobieta zapytała jeszcze pokrótce o ulubioną karmę i trening czystości, po czym ruszyła do drzwi, zabierając ze sobą Kukki.

Mimi miauknęła głośno, a jej młode zapiszczało żałośnie w odpowiedzi.

Dla mnie brzmiało to jak rozmowa:

– Będę cię odwiedzać, maleństwo!

– Obiecujesz? Tylko nie zapomnij, mam!

Tak oto ostatnie kocię opuściło moje mieszkanie.

– No i zostałyśmy we dwie...
Delikatnie pogłaskałam Mimi po grzbiecie.

2

– Ale tu cicho...

W poprzednim domu cały czas coś się działo, Reina albo mama zawsze się mną zajmowały. Tutaj inaczej – pani, która mnie przygarnęła, wychodziła wcześniej rano, jej mąż też. Wracali późnym wieczorem.

Byłam całkiem sama i z początku nic tylko płakałam, ale potem trochę się przyzwyczaiłam, aż wreszcie nasza mnie ochota na rekonesans.

Najpierw bawiłam się, chodząc w górę i w dół po schodach. Nie było takich u Reiny, a to całkiem ciekawa konstrukcja. Potem napiłam się wody, zjadłam trochę chrupiącej karmy i ruszyłam na poszukiwanie miejsca do leżenia. Chciałam takie w słońcu, więc spróbowałam na piętrze.

Weszłam przez uchylone drzwi i prawie mi serce stanęło. Z szoku. W pokoju przy zgaszonym świetle siedziała jakaś kobieta. Zjeżyłam się cała i z cichym piskiem odskoczyłam do tyłu, wybijając się ze wszystkich czterech łap. Ten dźwięk przyciągnął uwagę kobiety. Miała długie, niedbale związane włosy i ubranie takie jak to, które Reina wkładała do spania.

Zasłona w duże kwiaty przepuszczała do środka rozproszone promienie słońca. Kobieta powoli odwróciła się w moją stronę.

– Odejdź – powiedziała.

Przecież dopiero weszłam. Zebrałam się na odwagę i zapytałam:

– Kim jesteś?

Nie odpowiedziała. Powtarzała tylko, żebym sobie poszła. Pokój sprawiał podobne wrażenie co ten Reiny, tylko było w nim więcej książek i różnych innych przedmiotów.

Podeszłam, żeby powąchać kobietę. Pachniała jak zwierzyna. Jak coś słabego, na co się poluje. Dotknęła mnie. W miejscu, gdzie jej palce musnęły moje ciało, poczułam piekący ból, jakby przeszło na mnie jej cierpienie.

Nagle zza okna dobiegło okropnie głośne „Kraaa!”

Znowu odbiłam się ze wszystkich czterech łap i skoczyłam do tyłu z piskiem. Usłyszałam trzepot skrzydeł, a za zasłoną pojawił się cień wielkiego ptaka.

Tym razem przeraziłam się jeszcze bardziej. Zaczęłam miotać się po całym pokoju w panice – musiałam się gdzieś ukryć, nieważne gdzie! Biegłam z całych sił: pod biurko, za grzejnik, między ułożone w stosy gazety.

– Przestań! – krzyknęła kobieta zachrypniętym głosem.

Wspięłam się na najwyższą szafę i siedziałam na samej górze z nastroszonym ogonem.

– Mój pokój...

Kobieta ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

Dlaczego płakała?

Po chwili cień ptaka zniknął. Mało brakowało, ale uniknęłam niebezpieczeństwa. Zaczęłam czyścić sobie futro, żeby się uspokoić. Zauważyłam, że wokół łapy okręcił mi się śliczny sznurek. Pętelka ze srebrnym dzwoneczkiem. Musiał się zaplątać, kiedy biegałam po pokoju.

Powolutku zesłam z szafy i podeszłam do płaczącej kobiety.

Dzyń, dzyń.

Dzwoneczek odzywał się przy każdym moim kroku. Utrapienie.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś to ze mnie ściągnęła.

Kobieta ucichła. Spojrzała na mnie, wzięła sznurek z dzwonkiem, a potem zaczęła szlochać jeszcze gwałtowniej niż wcześniej. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

– Dziękuję, że ją znalazłaś. Dziękuję.

Wzięła mnie w ramiona i kilka razy powoli zamrugała. Uspokoilo mnie to.

– Jesteś Kukki, prawda?

Miauknęłam potakująco.

– Ja mam na imię Aoi. Miło mi cię poznać.

Potem dała mi wody.



Widząc misangę w mojej dłoni, czułam, jakbym śniła.

Nie podobał mi się pomysł przygarnięcia kota. Nie zdzierzyłabym, gdyby zniszczył moje komiksy, poza tym było oczywiste, że to dla poprawy mojego samopoczucia – sama myśl wzbudzała we mnie opór. Zgadzałam się, przyznałabym, że potrzebuję pomocy, a od tego mogłabym zachorować naprawdę.

Kociak znalazł jednak bransoletkę Mari – tę, którą zgubiła u mnie w pokoju całe lata temu. A teraz łąpczywie pił wodę.

Mari lubiła koty.

Chyba nawet właśnie dlatego przyszła do mnie pierwszy raz: bo chciała zobaczyć kota. Jessica, którą moi rodzice trzymali w domu, jeszcze zanim przyszedłem na świat, była już staruszką i całe dni odpoczywała. Pamiętam, że kiedy umarła, obie z Mari odprowadziłyśmy ją do krematorium, zalewając się łzami.

Od tamtej pory mama nie chciała więcej kotów, natomiast my dwie zaangażowałyśmy się w dokarmianie pewnego dachowca z okolicy. Odwiedzał nas jeden wielki i brudny kocur. Przychodził co jakiś czas, zjadał suchą karmę na balkonie i odchodził, ale pożerał ją z taką werwą, że aż miło było popatrzeć.

– Dziękuję, Kukki.

„Miau!” – odpowiedziała.



Dom Aoi miał jedno piętro i mieszkały w nim trzy osoby. Ona i jej rodzice. Ojciec niezbyt się mną interesował, ja nim też nie. Matka to ta, która przyniosła mnie od Reiny. Zawsze się ze mną witała, dlatego też do niej miauczałam, jeśli naszła mnie taka ochota. Wracała około południa, przygotowywała posiłek dla Aoi i znów wychodziła w wielkim pośpiechu.

Aoi budziła się niedługo potem, schodziła na dół i jadła w milczeniu. Zawsze jednak najpierw napełniała moją miskę.

Dlatego to ona była moją panią, a ja jej kotką. Chyba.

Całe dni spędzała w domu i często wyglądała tak, że nie wiedziałam, czy żyje, czy już umarła. W jej pokoju pełno było ciekawych rzeczy, ale nigdy nie widziałam, żeby się nimi zajmowała. Kiedy zapraszałam ją do zabawy, wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem, nic więcej.

Mimo to nigdy nie wypuszczała mnie na zewnątrz.

Większość czasu spędzała, leżąc w łóżku z zamkniętymi oczami – spała tyle co my, koty. Różniła się tym, że często płakała. Mnie mama uczyła, że od płaczu robią się nieładne zacieki pod oczami. Powiedziałam o tym Aoi, ale nie wiem, czy zrozumiała.

Nie wiedziałam też, dlaczego była taka smutna.

Sama niekiedy płakałam z tęsknoty za mamą, jednak nie rozpaczałam bez końca, tak jak Aoi. Czasami, kiedy na nią patrzyłam, coś ścisnęło mnie za gardło i trudno mi było oddychać.

Tak oto spędziłam pierwszą w życiu zimę, żyjąc po cichu w domu pełnym ciszy.

3

Wiosna nadeszła w mgnieniu oka.

Całą zimę nie mogłam spać. W nocy skupiałam się na tym, by rano wreszcie wyjść na zewnątrz, i nawet czułam, że dam radę, ale gdy wstawało słońce, na samą myśl o przekroczeniu progu ogarniał mnie paraliżujący niepokój. „Co, jeśli znowu poczuję ten okropny, ścisnąjący ból w sercu?” – zastanawiałam się. „Co, jeśli znowu nie będę mogła oddychać?”. Moje ciało zastygało w bezruchu. Czułam śmiertelne przerażenie.

Mimo wszystko chciałam wyjść, dlatego stopniowo zmniejszałam liczbę rzeczy, którymi mogłam zająć się w domu. Sądziłam, że jeśli nie będę miała nic do roboty w środku, zdołam wyjść na zewnątrz.

Wyrzuciłam komórkę, wyrzuciłam telewizor, wyrzuciłam książki i komiksy. Nic nie trzymało mnie w środku, a jednak nie mogłam się ruszyć. Było mi wstyd przed Mari i rodzicami. Ciągłe tylko się obwiniałam i robiłam sobie wyrzuty. Coraz częściej jadłam sama, nie chcąc, żeby ktokolwiek mnie zobaczył. Miałam napady paniki, poczucie winy zgniatało mnie na miazgę, ale mimo wszystko nie mogłam nic zrobić.

Mari nie odwiedzała mnie już w snach.

Nawet zjawa mnie porzuciła.



Nadeszła wiosna i zakwitły wiśnie. Pierwszy raz w życiu widziałam coś równie pięknego.

Aoi zawsze trzymała zasłony zaciągnięte, ale tym razem odsłoniła okno i obie podziwiałymy okwiecone drzewa, siedząc jedna obok drugiej.

Wtedy poczułam czyjaś obecność na balkonie.

Za szybą stał wielki, gruby i brudny kocur. Zaczęłam przeganiać go na migi, zupełnie jakbym mówiła: „Ja już zajęłam to miejsce! Kto pierwszy, ten lepszy!”

- Chcesz się bić? Ze mną? – zagroził.
- Pewnie! No chodź! – zawołałam, uderzając w okno.

Przez szybę niczego się nie bałam. Byłabym bezpieczna, nawet gdyby po drugiej stronie stał najgorszy zabijaka w całej okolicy.

- Bezczelność musi być u was rodzinna – stwierdził kocur.
- Moja mama wcale nie jest bezczelna.

Trochę się zdenerwowałam, że tak brzydko mówi o mamie.

- Nie chodzi mi o nią, tylko o twojego ojca.
- Wiesz, kim był mój tata?
- Ja wszystko wiem.
- W takim razie mam pytanie.
- O ojca?
- Nie.

O niego nie musiałam pytać, mama dużo mi o nim opowiadała.

- Chodzi o Aoi, moją panią. Jak sprawić, żeby przestała być smutna?
- Skąd miałbym wiedzieć takie rzeczy?
- Przecież mówiłeś, że wszystko wiesz! Kłamczuch!
- Wkurzający dzieciak z siebie...

Akurat gdy tamten łypnął na mnie spode łba, Aoi nagle otworzyła drzwi na balkon.

„Czyś ty całkiem oszalała?!”

Łapy się pode mną ugięły. W panice dałam susa i ukryłam się w cieniu biurka. Po drodze o coś zawadziłam, rzeczy Aoi rozsypały się na podłogę.

Gruby kocur uśmiechał się szeroko. Aoi nasypała suchej karmy do aluminiowej miski. Rzucił się na jedzenie jak na żywą ofiarę.

Požerał karmę tak, że można by patrzeć bez końca.

- Ale musiałeś być głodny.

Pochłaniał zawartość miski, nie zwracając na mnie uwagi, a potem oblizał się z zadowoleniem.

– Niech będzie, zapytam w twoim imieniu. W ramach podziękowania za jedzenie.

- Czyli potrafisz rozmawiać z Aoi? – zapytałam z entuzjazmem.
- Nie, zapytam Johna. On wie wszystko – powiedział kocur, wskoczył na barierkę, po czym zerknął na mnie, odwracając tylko głowę. – Jestem Kuro. Lepiej zapamiętaj, bo tak się nazywa szef okolicy, w której teraz mieszkasz.
- Popisujesz się i tyle.

Odprowadziłam Kuro wzrokiem, a potem patrzyłam, jak Aoi sprząta rozrzucone przeze mnie rzeczy. Były wśród nich przyrządy do rysowania, dokładnie takie same, jakie miała Reina.

Nigdy nie widziałam, żeby Aoi rysowała w tym pokoju. Chciałam, żeby kiedyś to zrobiła.

Odwiedzali mnie nie tylko Kuro i wrony. Od czasu do czasu zaglądał też chłopak mamy – biały samiec imieniem Chobi. Sprawdzał, jak się mam.

– Cześć, Kukki.

Pan Chobi zawsze zachowywał się spokojnie i po dżentelmeńsku.

– Dzień dobry! U mamy wszystko dobrze?

– Tak, chociaż wiesz, ostatnio cały lewy bok ma różowy od farby.

Wyobraziłam to sobie i zachichotałam, pan Chobi też.

Nie przepadałam za Kuro, bo nigdy mnie nie słuchał, natomiast pan Chobi zawsze chętnie to robił, więc bardzo go lubiłam.

Mama powtarzała, że jeśli będę chciała wziąć ślub, mam wybrać kota potrafiącego dobrze polować, ale ja chyba wolałam kogoś takiego jak pan Chobi.

4

Nadeszło lato. Zbliżała się pierwsza rocznica śmierci Mari.

– Nie idę! Ile razy mam powtarzać?!

Mój krzyk brzmiał skrzekliwie, dawno nie podnosiłam głosu.

– Masz iść. – Twarz mamy stężała.

– Nie.

– Jak długo jeszcze będziesz się tak zachowywać?

Miała rację. Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę – gdy myślałam logicznie. Ale nie potrafiłam opanować emocji.

– Zamknij się!

– To pierwsza rocznica. A ty ani nie byłaś na pogrzebie, ani nie odwiedziłaś jej grobu.

Tak, rozumiałam, co mówiła. Też chciałam pójść. Zakończyć to wszystko jak trzeba. Tak jak należy. Chciałam stanąć przed grobem Mari i przeprosić.

– Zostaw mnie!

Ale nie mogłam.

Wypchnęłam mamę z pokoju. Z hukiem trzasnęłam drzwiami. Kukki skuliła się ze strachu.

Mama jeszcze coś mówiła zza drzwi, ale zagłuszyłam jej słowa nieartykułowanym krzykiem.

Wreszcie usłyszałam kroki na schodach. Brzmiały tak, jakby mama schodziła na dół śmiertelnie wyczerpana.

Łzy płynęły jedna za drugą i nie chciały przestać.



O tym, co stało się z Aoi, dowiedziałam się po części od Kuro, a po części od niej samej.

– Nie jestem w stanie pójść na jej grób, u jej rodziców też nie byłam. Za nic w świecie nie mogę wyjść na zewnątrz – powiedziała, płacząc.

Nie siedziała ciągle zamknięta w pokoju, bo było jej tam dobrze. Ona nie potrafiła wyjść. Przebywanie w jednym miejscu bez końca to koszmar, nieważne jak jest przytulne.

Znów długo leżała na łóżku i płakała. Próbowałam jakoś ją pocieszyć, ale zamknęła się w sobie. Wrony krakały rozdzierająco. Aoi skuliła się jeszcze bardziej. Ptaszyska siadały na balkonie – najpierw jedno, potem drugie, kolejne i kolejne.

Wtedy dotarło do mnie, co znaczyły ich głosy. Myślały, że Aoi umiera, i chciały ją pożreć, kiedy już wyzionie ducha.

Zrozumiałam, że są na tym świecie istoty jeszcze słabsze ode mnie. W moim sercu zakiełkowało uczucie, jakiego nie doznałam nigdy wcześniej.

Zapragnęłam ochronić Aoi.

Zebrałam całą odwagę. Zaryczałam, ile sił w płucach, i skoczyłam na tańczące na zasłonie cienie. Łupnęłam o szybę o wiele głośniej, niż się spodziewałam. Wrony też musiały się zdziwić, bo uciekły z trzepotem skrzydeł.

– Kukki, w porządku?

Biegałam w kółko po pokoju, nie umiejąc poradzić sobie z zalewającymi mnie emocjami – mieszanką euforii po wygranym pojedynku i niepokoju o Aoi.

Przyszła jesień. Tak jak drzewa zrzucały liście, tak Aoi chudła i mizerniała. Coraz częściej też kłóciła się z matką.

Czasem całe dnie nie wstawała z łóżka, znalazłam więc sposób, by samodzielnie dobrać się do suchej karmy.

Pewnego razu pan Chobi przyszedł do mnie o zmierzchu, czyli o innej porze niż zwykle.

– Kukki, posłuchaj. Trudno mi o tym mówić, ale z Mimi nie jest najlepiej.

– Z mamą?

– Chce się z tobą zobaczyć.

– Ale mnie nie wypuszczają na zewnątrz.

– No tak... Mogę jej przekazać wiadomość, jeśli chcesz.

Zastanawiałam się dłuższą chwilę, ale nie umiałam znaleźć właściwych słów.

– Proszę jej powiedzieć, żeby się trzymała.

– Dobrze. Na pewno się ucieszy.

Aoi wstała z łóżka. Na jej widok pan Chobi czmychnął z balkonu.

– Aoi, chciałabym się zobaczyć z mamą. Jest chora, chcę ją odwiedzić.

Pogłaskała mnie w milczeniu. Dzwoneczek misangi, którą miała zawiązaną na nadgarstku, dźwięczał przy tym cicho.

Nie rozumiała, co mówię. Nie chciała mnie wypuścić.

Poczułam złość. Ugryzłam bransoletkę i pociągnęłam z całej siły.

– Przestań! Kukki, nie wolno! – krzyczała Aoi. – Czemu to robisz?!

„Proszę cię, Aoi. Ja chcę do mamy”.

– Przestań! Wynoś się, już!

Wyrwała mi misangę i z powrotem zakopała się w pościeli.

Postanowiłam sama odwiedzić mamę.

Okolo południa następnego dnia, kiedy matka Aoi wróciła ugotować obiad i akurat zajmowała się praniem, po kryjomu weszłam na suszarkę balkonową i stamtąd na dach.

Przypomniałam sobie, jak mówiłam mamie: „Będę skakać z sufitu, z dachu, skąd tylko zechcę!”. Wydawało mi się, że słyszę jej głos: „Na pewno, Kukki”.

Zebrałam się w sobie i skoczyłam w przestrzeń.



Kukkī uciekła.

Pewnie przeze mnie, bo jej powiedziałam, żeby się wynosiła.

Kotyzymane cały czas w domu nie radzą sobie na zewnątrz. Jessica, nasza poprzednia kotka, też uciekła i znalazłam ją potem potrąconą przez samochód na ulicy przed domem. Kukkī nie znała okolicy. Nie miała szans, by znaleźć drogę powrotną.

Akurat w takim momencie rodzice byli w pracy.

Musiałam sama ruszyć jej na ratunek. Wiedziałam, że muszę, ale nie potrafiłam się ruszyć. Z takim ciałem i tym, co miałam w głowie, nie mogłam nic poradzić. Przez to, że nie poszłam na pierwszą rocznicę śmierci Mari, coś pękło we mnie na zawsze. Moje istnienie sprowadzało się już tylko do oddychania.

„Co robić?”

Nic nie mogłam – tylko trząść się i zakryć głowę kołdrą.

„Mari. Mari, błagam, pomóż mi”.



Świat bez sufitu.

Bezkresne błękitne niebo wyglądało, jakby miało mnie wciągnąć i pochłonąć – gdy tylko uniosłam na nie wzrok, śmiertelnie się przeraziłam. Biegłam, w miarę możliwości nie patrząc w górę.

Pędziłam dalej i dalej przed siebie, aż wreszcie zdałam sobie sprawę z pewnej ważnej rzeczy. Ten świat był czymś zupełnie innym, niż mi się wydawało. Jego rozmiary dalece przekraczały moje najśmielsze wyobrażenia.

Bąłam się.

Aoi pewnie przerażało to samo.

Myślałam, że jeśli wyjdę na zewnątrz i chwilę pobiegnę, od razu dotrę do mieszkania Reiny. Przecież pan Chobi i Kuro odwiedzali mnie bez trudu.

Poczułam zapach innego kota.

Przerażona popędziłam na złamanie karku, byle uciec jak najdalej. Na zewnątrz nie było nikogo, kto by mnie ochronił.

Nie wiedziałam, że świat jest taki wielki i skomplikowany. Biegłam po nieznanym uliczkach, póki nie dopadło mnie zmęczenie. Postanowiłam odpocząć pod wysokim żywopłotem.

To był błąd.

Gdy zdałam sobie z tego sprawę, było już za późno. Miałam przed sobą dużą kotkę.

– Znikaj stąd – przemówiła lodowatym tonem.

– Poczekaj, ja...

Wyciągnęła pazury i zaatakowała. W panice rzuciłam się do ucieczki, ale i tak zdążyła drapnąć mnie u nasady ogona. Bolało, byłam załamana, ale pędziłam ile sił w łapach. Nie wiedziałam, gdzie jestem. „Czy ja dam radę kiedykolwiek wrócić do domu...?” Zebrało mi się na płacz, jednak zdusiłam go w sobie. Wolałam nie ryzykować drugiego spotkania z tamtą kotką.



Myślałam o tym setki razy.

Gdybym wtedy poszła do Mari i przeprosiła za to, co powiedziałam, może wcale by nie umarła. Gdybym tylko zadziałała od razu, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Nie chciałam powtórzyć tego samego błędu. Wiedziałam, że jeśli pójde szukać Kukki, będzie jeszcze dla niej szansa.

Nie chciałam mieć następnego życia na sumieniu. Musiałam ruszyć jej na pomoc. Przecież uratowała mnie przed wronami – teraz nadeszła moja kolej.

Wyszłam z łóżka i narzuciłam kurtkę. „Wiem, że nie mam prawa prosić, ale daj mi siłę, Mari”

Dzyń, dzyń. Jej misanga dodała mi odwagi. W domu mogłam się poruszać bez przeszkód. Z moim ciałem wszystko było w porządku.

Tym razem musiało mi się udać.

Z pewnością, jakiej nie czułam od bardzo dawna, uchyliłam drzwi wejściowe.

Wtedy cała odwaga uleciała. Zamarłam. Nie potrafiłam zrobić następnego kroku, choć niczym nie różnił się od tych, które stawiałam w domu. Nie mogłam oddychać, zupełnie jakby za drzwiami panowała próżnia.

Nie miałam szans. To było dla mnie zbyt wiele.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Zachwiałam się i kucnęłam na podłodze. Poczulałam wtedy, że coś ciągnie mnie za lewą rękę.

Dzyń, dzyń.

Misanga zahaczyła o klamkę i zaraz miała się rozwiązać. Na to nie mogłam pozwolić. Wciąż w kuckach oparłam się całym ciałem o drzwi i wyciągałam rękę, próbując odhaczyć bransoletkę.

Dzyń, dzyń.

Udało się. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że w międzyczasie przekroczyłam próg. Jedną nogą stałam na zewnątrz. Krew odpłynęła mi z twarzy.

„Spokojnie. Mam misangę Mari”.

Spojrzałam na swoją dłoń. Trzymałam w niej rozerwaną bransoletkę. No tak. Moc spełniania życzeń. Misanga Mari spełniła moje. Teraz mogłam już wychodzić na zewnątrz.

Postawiłam drugą stopę za progiem. Tym razem świadomie. Stałam obiema nogami poza domem.

Rozciągał się tam świat bez sufitu.

„Dziękuję, Mari”.

Ruszyłam naprzód z nową pewnością siebie. „Poczekaj, Kukki. Już idę”.



Szłam mozolnie drogą wzdłuż rzeki. Słońce zawisło nisko nad horyzontem, a mój cień wydłużył się do przerażających rozmiarów.

Było ciemno, zimno i strasznie. Za każdym razem, gdy słyszałam krakanie wron, podskakiwałam ze strachu i chowałam się czym prędzej. Myślałam, że oszaleję z rozpacz i bezradności.

Czułam wyczerpanie i głód – szłam przed siebie już nie po to, by wrócić do domu, ale by znaleźć coś do jedzenia. Nie wiedziałam, jak polować ani gdzie powinnam szukać pożywienia. Mogłam jedynie krążyć na ślepo.

Nagle zapachniało smakowicie. Ryżem i bulionem rybnym. Pobiegnęłam prosto tam, skąd dochodziła pyszna woń. Na ceramicznym talerzu czekał posiłek: ryż wymieszany z różnymi dodatkami i posypany płatkami suszonej ryby bonito, ostudzony do idealnej temperatury.

Pewnie czekał na innego kota, ale nic mnie to nie obchodziło. Rzuciłam się na jedzenie bez opamiętania. Jeszcze nigdy nie próbowałam niczego równie pysznego.

– To moja kolacja – powiedział ktoś za mną.

Mało brakowało, a serce przestałoby mi bić. Napchałam policzki ostatni raz, po czym odwróciłam się strachliwie.

Stał tam ogromny, gruby dachowiec. Przełknęłam głośno resztę ryżu.

– Kuro!

– Czyli zapamiętałaś, córko Mimi.

– Mam na imię Kukki.

– Ciebie też porzucili?

– Nie! Aoi nigdy by tego nie zrobiła.

– W takim razie co tu robisz?

– Wyszłam na mały spacer przy okazji odwiedzin u mamy – odparłam, siłąc się na pogodny ton.

– Spacer, powiadasz. – Kuro uśmiechnął się złośliwie.

– No co?

– Chodź za mną.

Ruszył, nie czekając na odpowiedź. Nie miałam wyboru, podreptałam za nim.

– Ty też kochałeś się w mamie? – zapytałam, bo Kuro nic nie mówił.

– Że jak?

– Słyszałam, że wszystkie koty w okolicy traciły dla niej głowę.

– Niezłe mniemanie o sobie ma ta twoja mamusia.

– Czyli jednak...?

– Zamknij jadaczkę i chodź.

Dzięki Kuro zupełnie się uspokoiłam i gadałam jak najęta, ale od tego momentu nie odpowiadał, niezależnie od tego, co mówiłam.

Kiedy łapy rozboleły mnie od marszu, poczułam znajome aromaty. Woń suchych liści, oleju o żywicznym zapachu... Tego, którego Reina używała podczas malowania.

Wyprzedziłam Kuro i pobiegłam przodem.

Słońce już zaszło, ale nie miałam wątpliwości. Byłam przed mieszkaniem Reiny i mamy. Nabrałam powietrza i miauknęłam głośno.

Żadnej odpowiedzi.

– Nie ma ich.

– Może już... no wiesz... – Kuro się skrzywił.

– Nie mów tak!

Ogarnęły mnie czarne myśli. A jeśli już nigdy nie zobaczę mamy?

– Kukki!

Ktoś mnie wołał. Ten głos...

– Aoi! – miauknęłam ile sił w płucach.

– Kukki!

Nigdy bym nie przypuszczała, że będzie mnie szukać. Miała na sobie kurtkę narzuconą na piżamę, do tego klapki na bosych stopach.

Wskoczyłam jej na ręce. Na mój widok Aoi wybuchnęła głośnym płaczem.

– Już wychodzisz na zewnątrz? Tak się cieszę! – zamiauczałam radośnie.

– Dobrze, żeście się znalazły – rzucił Kuro i odbiegł w swoją stronę.

Obiecałam sobie w duchu, że kiedy odwiedzi nas następnym razem, załatwię mu u Aoi wielką wyzerkę.

Usłyszałam nadjeżdżający samochód. Pod budynkiem pojawiła się taksówka, z której wysiadła Reina niosąca transporter.

– Reina!

Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zaskoczonej.

– Kukki?!

Miauknęłam głośno jeszcze raz.

– Yyy... ja jestem...

– Właścicielką Kukki, prawda? Przyszłyście w odwiedzinę do chorej? Śmiało, wchodźcie – powiedziała Reina i otworzyła drzwi.

– Gdzie mama? – dopytywałam.

– Spokojnie, zaraz zobaczysz Mimi.

Nareszcie udało nam się znów spotkać. Mama wyszła z transportera z wielkim i niewygodnym kołnierzem założonym na szyję, a na tylnej łapie miała opatrunek. W moich wspomnieniach była o wiele większa.

– Aleś ty urosła, Kukki.

Wyglądała na osłabioną, ale głos miała mocny.

– Już dobrze, mamo.

– Dziękuję, że przyszłaś.

Powąchałam ją i zaczęłam czyścić jej futro, tak jak ona zawsze robiła mnie. Usnęła, zanim skończyłam.

Patrzyłyśmy na nią we trójkę: Aoi, Reina i ja.

– Niedługo będzie lepiej – powiedziała Reina.

– Tak, na pewno – odparła Aoi.

ROZDZIAŁ IV

Ciepło świata

1

Letni ranek.

Przyczajony na osłoniętym od słońca, chłodnym murku Kuro czekał na swój moment. Z oddali dobiegał głos spikera prowadzącego radiową gimnastykę.

Na polowaniu Kuro potrafił wykazać się ogromną cierpliwością.

Wreszcie ujrzał swój cel: talerz z okazałą górą klopsików, który starsza pani położyła przed psią budą.

Rozpoczęły się łowy. Kuro wzbił się w powietrze, obrócił swoje potężne cielsko w locie i dotknął ziemi czterema łapami. Zamortyzował siłę upadku i wykorzystał pęd, by dać błyskawicznego susa naprzód.

Zdobycz była tuż obok.

Przeciwnik kocura także się nie ościągał. Wielki cień wychynął z budy i popędził w stronę talerza z klopsami.

Gdyby obrał za cel mięsny przysmak, pewnie zostałby złapany i przepędzony – ale Kuro mierzył w co innego. Wyciągnął się i trącił łapą powierzchnię wody w stojącej obok misce. Rozbryzg zarysował łuk w powietrzu i chlusnął prosto w pysk przeciwnika, zmuszając go do zamknięcia oczu.

W tym mgnieniu Kuro zdążył porwać klopsika. Był przepyszny.

– Skradłeś mi jednego? Wspaniałe zagranie – rzekł przeciwnik, czyli pies John, po czym powoli zabrał się do jedzenia.

Kuro z zadowoleniem przyjął pochwałę. Najsilniejszy kocur w okolicy i stary pies znali się od dawna. Łączyła ich przede wszystkim rywalizacja – Kuro starał się zwędzić Johnowi przysmaki, a ten próbował mu w tym przeszkodzić.

– Musiałem okropnie osłabnąć, skoro z tobą przegrałem.

– Nie, to ja jestem silniejszy.

Z początku byli zaciekłymi wrogami, ale teraz uznawali się wzajemnie za godnych rywali i wręcz darzyli szacunkiem.

Ludzkie pożywienie zwykle było za słone, ale właścicielka Johna potrafiła gotować tak, by wydobyć prawdziwy smak składników. Starsza pani patrzyła teraz z uśmiechem, jak Kuro i John zajadają się klopsikami jeden obok drugiego.

Kiedy już napełnili brzuchy, kocur zaległ w cieniu budy.

– Wiesz, dlaczego zwierzęta jedzą? – zagaił John, kładąc się z pyskiem opartym na przednich łapach.

„Głupie pytanie” – pomyślał Kuro. – Bo robią się głodne.

– A dlaczego robią się głodne?

– Bo żyją.

– Właśnie tak. – John zamerdał radośnie ogonem. – Bardzo dawno temu triumfy święciły istoty, które wcale nie musiały zdobywać pożywienia.

– Czyli jadły sobie, nic nie robiąc? Istny raj.

– Raj, powiadasz? Ha, a to dobre – roześmiał się John.

Potem opowiedział o stworzeniach przepędzonych z tego raj.

Jeść, nie przyplacając tego wysiłkiem, żyć w pokoju i szczęściu, nie musząc z nikim walczyć – to rzeczywiście arkadia. W zamierzchłej przeszłości trwał krótki okres, który można było tak nazwać. Nie było wtedy jednak ludzi, kotów, psów ani nawet drzew czy traw. Istoty o kształcie podobnym do liścia, niebędące ani zwierzętami, ani roślinami, pokrywały powierzchnię Ziemi. Całą planetę zaludniały organizmy jednego rodzaju. Żywiły się, rozkładając materię obecną w morzach i oceanach, dlatego nie istniał wtedy podział na pożerających i pożeranych.

– To co one robiły przez cały czas? – wtrącił się Kuro.

– Nic. Po prostu istniały. Co prawda nie trwała długo, ale była kiedyś taka epoka.

– I co się z nimi teraz dzieje?

– Wyginęły. Zostały wyparte w mgnieniu oka przez nadchodzące nowe organizmy – oznajmił John spokojnie.

Później na Ziemi pojawiła się szalona liczba różnych istot, tak jakby życie chciało nadrobić stracony czas. Wszystkie robiły co w ich mocy, by przetrwać, walczyły między sobą i pożerały się. Dlaczego raj liściokształtnych organizmów nie wytrzymał próby czasu, a piekło odmiennych stworzeń zabijających się nawzajem rozkwitło? Istniały dwa powody: różnorodność i rywalizacja.

Organizmy skostniałe w jednej formie i pozbawione konkurencji muszą wyginać z prostej przyczyny: bez rywalizacji między gatunkami nie ulegną ulepszeniu, to znaczy – nie przystosują się skuteczniej do otaczającego je środowiska.

– Teraz to już tak zagmatwałeś, że nic z tego nie rozumiem. – Kuro ziewnął przeciągle.

– Mówiąc prościej, raj ma to do siebie, że nie trwa długo.

– Czyli tamte niby-liście same były sobie winne?

– Otóż to.

– Ale ty masz wiedzę.

– Każda istota, która przychodzi na świat, wie o wszystkim, co zdarzyło się od narodzin życia. Po prostu wszyscy szybko zapominają, a ja pamiętam. Nic wielkiego.

– No nie wiem...

Kuro lubił tak leżeć i słuchać opowieści Johna. Stał na szczycie kociej hierarchii, dlatego przy żadnym ze swoich pobratymców nie mógł opuścić gardy. A Johna nie interesowało terytorium Kuro, no i wiedział wiele różnych rzeczy, dlatego był idealnym rozmówcą.

– Kuro, chciałbyś wiedzieć, kiedy umrzesz?

John często zadawał zupełnie niestworzone pytania.

– A po co?

Kuro mówił szczerze. Nie interesowała go przyszłość odleglejsza niż następny dzień.

– Nie spodziewałem się po tobie innej odpowiedzi – odparł John z zadowoleniem.

– Możemy umrzeć w każdej chwili. Nie zliczę, ile razy widziałem młodziaków w pełni sił, którzy wieczorem dostali niby tylko biegunki, a rano już nie żyli. Że już nie wspomnę o tych, których samochody przerobiły na miazgę.

Kuro uważał za oczywiste i naturalne, że koty łatwo giną.

– Choć w dzisiejszych czasach bywają i koty ranne tak poważnie, że same nie dałyby rady nic upolować, a żyją dalej jak gdyby nigdy nic.

– Masz na myśli Mimi? Twarda z niej sztuka.

John zamknął oczy i myślał o czymś przez dłuższą chwilę, zanim znów przemówił.

– Mnie nie zostało już wiele czasu – powiedział takim tonem, jakby zdradzał cenę tajemnicę.

Kuro otworzył pysk i ze zdziwienia aż zapomniał go zamknąć.

– Żuchwa ci wypadła?

– To przez twoje głupie żarty.

– Wcale nie żartowałem. – John spojrział na kocura poważnym wzrokiem.

– Jak by to ująć... Szkoda by było – powiedział Kuro z głębi serca.

– Miło, że tak mówisz.

– Nie miałbym komu podbierać żarcia.

John się uśmiechnął.

– Ale przecież jesteś okazem zdrowia.

– Ludzie bardzo się boją śmierci... – John zmienił temat. – I nie tylko oni. My, psy i koty, też.

– Oni są dziwni.

– Od kiedy tu mieszkam, nieraz widziałem śmierć.

– John, a może... – Kuro przyszła do głowy pewna myśl. – Zacząłeś się bać, bo żyjesz już bardzo długo?

– Ja nie boję się śmierci. Ona niczym się nie różni od zasypiania. Można powiedzieć, że co wieczór ćwiczymy się w umieraniu. – Zrobił pauzę. – Ale... Martwię się o nią – dodał, jakby trudno mu było wymówić te słowa.

– „O nią”?

John utkwiał wzrok w starszej kobiecie, która składała teraz pranie w pokoju wychodzącym na ogródek – swojej pani. Poruszała się z werwą, ale w jej włosach dominowała siwizna.

– Nazywa się Shino – przedstawił ją John.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, kobieta wyprostowała się z uśmiechem.

– Twoja ukochana?

– Ha, ha, ha. Niestety, ma już męża. Chociaż nie mieszkają teraz razem.

Shino ruszyła w ich kierunku, a Kuro cofnął się powoli, zachowując dystans.

– Czyli skomplikowana sytuacja, co?

Kobieta zabrała pusty talerz sprzed budy i wróciła do środka.

– Nie pracuje?

– Teraz nie, ale kiedyś pracowała. Chodziła w eleganckich kostiumach, bardzo stylowo w nich wyglądała. A potem musiała zrezygnować.

– Aha...

Kuro, w przeciwieństwie do Johna, nie interesowało życie ludzi.

– I mieszka sama w takim wielkim domu?

– Tak. Wcześniej była tu też starsza osoba, która nie mogła się już ruszać, ona się nią opiekowała.

– Przecież starców wystarczy zostawić samym sobie.

– Jak się ich zostawi, umrą.

– Nie rozumiem, jaki sens ma opieka nad kimś, kto już nie daje rady żyć samodzielnie – stwierdził Kuro, przeciągając się.

– Ona poświęciła swoje życie opiece nad innymi, powoli umierającymi, starymi ludźmi.

Kuro poczuł, że chyba wreszcie zrozumiał, co John chciał przekazać.

– Mówisz strasznie naokoło. Nie chcesz skończyć jak tamci, tak?

– Właśnie tak – odparł krótko John, zamknął oczy i zasnął.

Kuro też usnął obok niego.

2

„Wanna napełniona” – rozległ się syntetyczny głos poprzedzony melodyjką.

– Już, już – odpowiedziała Shino automatowi i wstała przed telewizora.

Dom był przystosowany do potrzeb osób starszych, dlatego aż do łazienki nie musiała pokonać ani jednego stopnia. Po drodze i w środku pełno było różnych uchwytów i poręczy.

Shino jeszcze ich nie potrzebowała, ale i tak czuła się dzięki nim pewniej.

Weszła do łazienki po ciemku i powoli zanurzyła się w wannie.

Nie zapalała światła, bo matka jej męża, która dawniej z nimi mieszkała, kazała jej oszczędzać prąd. Teraz Shino dochodziła do wniosku, że była to zwyczajna reakcja obronna na obcą osobę w domu. Z przekory stosowała się do nakazu tak ściśle, że kąpiele przy zgaszonym świetle weszły jej w nawyk.

Zresztą tego rodzaju drobne złośliwości wobec młodej synowej wydawały się wręcz urocze, jeśli porównać je z tym, co teściowa mówiła i robiła, gdy wymagała już stałej opieki.

– Ech... – westchnęła Shino przeciągle.

Przez świetlik wpadały promienie księżycy. Kobieta nabrała wody w obie dłonie i złapała odbicie srebrnego okręgu w jej powierzchni. Uśmiech pojawił się sam.

„Przynajmniej nie muszę wydawać wiele na rozrywkę, skoro tyle wystarczy, żebym dobrze się bawiła”.

Skończyła kąpiel, nałożyła koszulę nocną i wyszła za dom. Chłodząc się w podmuchach letniego wieczornego wiatru, dojrzała spadającą gwiazdę. Shino chciała pomyśleć życzenie, ale zdała sobie sprawę, że niczego już nie pragnie.



Była piękna księżycowa noc. Ustały wesołe pokrzykiwania młodzieży i szum pędzących drogą krajową samochodów, nad dzielnicą znów zapadła cisza.

Gdy Kuro dotarł do domu Johna i Shino, w ogrodzie zebrał się już spory tłum. Wolne koty ściągnęły z całej okolicy. Kuro wyszukał wzrokiem Chobiego. Inni, kiedy tylko zauważali najsilniejszego kocura, z szacunkiem schodzili mu z drogi. Zajął pozycję przed budą.

Po chwili John wyszedł powoli na zewnątrz i spokojnie obrzucił zgromadzonych wzrokiem.

– Nadszedł czas. Dzisiejszej nocy zniknę – ogłosił uroczystym tonem.

Wśród otaczających go kotów rozległy się pełne poruszenia pomruki. Kuro w milczeniu pokiwał głową.

– Będzie nam ciebie brakowało, John – powiedział Chobi z poważną miną.

Potem każdy z obecnych wygłosił swoje pożegnanie. Dla kotów z tej okolicy John był chodzącą encyklopedią i znakomitym doradcą. Sprawował pieczę nad podziałem obszaru na terytoria, dzięki czemu unikano wielu niepotrzebnych konfliktów.

Słuchał pożegnań w milczeniu, z wilgotnymi oczami.

– Ci, którzy nie mogli dzisiaj przyjść, na pewno myślą teraz o tobie w swoich legowiskach. Dziękujemy, John – przemówił Kuro jako ostatni, reprezentując wszystkie koty.

– Dziękuję wam – odparł krótko John głosem drżącym od emocji. Następnie zręcznym ruchem przednich łap zdjął obrozę.

– Ty tak umiesz? – zapytał zaskoczony Chobi.

– Już od dawna była zepsuta.

Wyrobiona skóra obroży błyszczała bursztynowo. John otrzepał się, po czym postąpił naprzód zdecydowanym krokiem.

– John, jakoś nie mogę uwierzyć, że naprawdę umierasz... – powiedział Chobi, doganiając psa.

– Nie umieram. Ja stanę się wiecznością.

– Wiecznością? – Kuro także nie wiedział, co John miał na myśli.

– Gdybym tu teraz umarł, wiedzielibyście o mojej śmierci. I wy, i pani Shino. Ale jeśli zniknę bez wieści, nikt się nie dowie, co tak naprawdę się ze mną stało.

– I to jest ta wieczność?

– Właśnie tak.

John spojrzął za siebie, na dom. Tylko w jednym oknie świeciło się światło. Tam była Shino.

– Ja się nią zajmę, John – przemówił Kuro z wypiętą pierśią.

– Niech tak będzie, Kuro.

John ruszył. Szedł przez wyludnione nocne ulice z kotami u boku.

W ciemności unosiły się jeszcze resztki ciepła po upalnym dniu, wilgotne powietrze oblepiało ciała zwierząt. Dla kotów było to bardzo przyjemne. Kuro przypomniał sobie jedną z opowieści Johna. Ponoć ich przodkowie zamieszkiwali gorące południowe kraje i dlatego w nocie takie jak ta w kotach wzbierała trudna do wytłumaczenia tęsknota.

Po jakimś czasie orszak zaczął się kurczyć. Koty odchodziły jeden po drugim i wracały na swoje terytoria.

Wreszcie zostali tylko Kuro i Chobi. Pies się zatrzymał.

– W nagrodę, że szliście ze mną do końca, zdradzę wam pewien sekret.

– Sekret? – powtórzył Chobi z ciekawością.

– Kiedyś do was wrócę.

– Naprawdę?

– Tak. Możliwe, że pod inną postacią, ale wy na pewno mnie rozpoznacie.

Chobi słuchał uważnie.

– Wtedy spełnię po jednym waszym życzeniu – rzekł John ze śmiertelną powagą.

– Niby jakim cudem? – Kuro spojrzął na niego podejrzliwie.

– W takim razie ja życzę sobie, żeby... – zaczął Chobi, ale John mu przerwał.

– Nie musisz na głos. Po prostu wypowiedz je w duchu.

Chobi posłusznie zamknął oczy pod niebem pełnym gwiazd.

„Co za głupota” – pomyślał Kuro. – „Ale może jednak...?” Wraz z iskierką nadziei w jego umyśle pojawiła się sylwetka Shino.

„Niech staruszka będzie szczęśliwa. Odejście Johna pewnie ją zasmuci, więc pal sześć, życzę sobie, by zaznała szczęścia”.

John spojrział na Chobiego i Kuro, po czym skinął głową.

– Nie zapomnijcie o nich. Jeśli będziecie z wiarą nieść swoje życzenia w sercu, kiedyś spełnią się nawet bez mojej pomocy.

Koty spojrzały po sobie i zamrugały zaskoczone.

„Zaraz, zaraz. Robił sobie z nas żarty?”

Pies z zadowoleniem merdał ogonem.

– No, znikaj już! – wrzasnął Kuro.

Wtedy John zerwał się do biegu z szybkością, która zdecydowanie nie pasowała do takiego staruszka. Chwilę później gdzieś z oddali dobiegło ich jego wycie.

– Jaki on niby umierający? Żwawy dziadek z niego – rzucił Kuro kąśliwie.

Gdy wracali, Chobi nieśmiało przerwał milczenie.

– Powiedz...

– No?

– Czego sobie zażyczyłeś?

– Niczego – skłamał czarny kocur.

– Naprawdę?

– Nie mów, że wziąłeś go na poważnie? Żartowałeś z nas.

– Wcale nie. Miał minę, którą zawsze robił, gdy mówił coś ważnego.

– No nie wiem...

– Ja poprosiłem w duchu, żeby moja pani, to znaczy moja ukochana, była szczęśliwa... – Chobi zdradził swoje życzenie, chociaż nikt nawet nie pytał.

– Weź, nie gadaj takich rzeczy głośno.

Kuro czuł się zażenowany, ale równocześnie trochę zazdrościł Chobiemu, że potrafi mówić wprost o tego rodzaju sprawach.

– Do zobaczenia, Kuro.

Chobi pobiegł w spowite nocą miasto. Pewnie wracał do swojej pani.

Kuro zamyślił się głęboko, odprowadzając go wzrokiem.

„Ja się nią zajmę”?

Czy powiedział to pod wpływem chwili? Owszem. Ale skoro słowa już padły, należało wziąć za nie odpowiedzialność.

Kocur powoli wrócił tą samą, oświetlaną blaskiem księżycy drogą. Ułożył się w budzie Johna i postanowił przeczekać tam do rana. Spowity jego zapachem, Kuro śnił o swoim starym druhu.



Shino przyśnił się sen wprost wyjęty z wyobraźni małej dziewczynki, tak dziecinny, że aż chciało jej się śmiać.

Podróżowała w nim przez kosmos, lecąc na spadającej gwiazdzie. Oczywiście takiej pięcioramiennej, jak z rysunku. Miała na sobie swoją zwyczajną koszulę nocną, ale ciało wprost z młodzieńczych lat – czuła się cudownie lekko.

Ktoś podlęcał do niej na innej gwiazdzie. Tym kimś był John. Miał okrągły szklany hełm, jak prawdziwy astronauta.

– John! – zawołała.

– Czołem, pani Shino – odpowiedział po japońsku, ale we śnie nie uznała tego za nic dziwnego. – Proszę wypowiedzieć życzenie. W końcu widzi pani spadającą gwiazdę! – Puścił jej oczko.

– Niech no się zastanowię... Chciałabym znowu być młoda.

– A nie jest pani?

Rzeczywiście, we śnie była nastoletnią dziewczyną.

– Trudno zaprzeczyć.

– Proszę wymyślić coś innego.

Shino powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy.

– W takim razie zamieńmy się rolami i zrób mi śniadanie.

Jakie to musiało być szczęście: obudzić się na gotowe!

– Wedle życzenia. – John klepnął się przednią łapą w pierś.

Wtedy Shino się obudziła.

Od rana była niespokojna, pewnie przez ten dziwny sen. „A może jednak...?” – Weszła do kuchni z iskierką nadziei, ale oczywiście nie czekało na nią śniadanie.

„Co też mi strzeliło do głowy?”

Przez moment naprawdę myślała, że będzie inaczej. Zaśmiała się z własnej naiwności.

Wykorzystała resztki z poprzedniego dnia i błyskawicznie przygotowała posiłek dla siebie i Johna.



Smakowity zapach wyrwał Kuro ze snu. Poprzedniej nocy położył się bardzo późno, dlatego spał jak kamień, mimo że słońce wstało już dawno.

Wyszedł z budy ociężałym krokiem. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Shino.

– Ojej.

Kobieta wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Pani Shino, nie jest mi łatwo o tym mówić, ale... John odszedł wczoraj w nocy.

Wy tłumaczył sytuację najlepiej, jak potrafił. Starsza pani nie mogła go zrozumieć, ale znalazła obrożę i chyba wyczuła, co się zdarzyło.

– Skoro już zrobiłam, to może zjesz?

Kuro miał całe śniadanie Johna tylko dla siebie. Za młodu marzył, by kiedyś tego dokonać, ale teraz, gdy zdobył je bez walki, jedzenie straciło smak.

– Chcesz zostać moim kotem?

Takie oferty nie zdarzały się często, ale Kuro odmówił.

– Jestem dachowcem. Nigdy nie będę czyjś.

Przemawiała przez niego duma.

Pochłonął śniadanie i poszedł w swoją stronę. Jako najsilniejszy kocur w okolicy miał mnóstwo spraw na głowie.

Następnego dnia z samego rana postanowił sprawdzić, co u Shino. Gdy dotarł na miejsce, śniadanie już czekało, choć wcale nie prosił. Zjadł z wdzięcznością. Jak zwykle było pyszne. Delikatna równowaga między smakiem wywaru rybnego i mięsa z kurczaka idealnie wpisywała się w jego gust. Spałaszował całą porcję jak w transie, a gdy podniósł wzrok, zobaczył starszą panią z radością wypisaną na twarzy.

Skoro dzień w dzień szykowała dla niego posiłek, nie mógł pozwolić, by się zmarnował. Postanowił sprawić Shino tę przyjemność i zachodzić do niej codziennie.

Po jakimś czasie uznał, że szkoda wysiłku na chodzenie wte i wewte – spędzał noce w budzie Johna. Starsza pani wielokrotnie zapraszała go do domu, ale Kuro odmawiał. Gdyby skorzystał, przestałby być dachowcem. Dawał się karmić, ale spał na zewnątrz.

Kocur i Shino zaczęli przesiadywać jedno obok drugiego na ganku. Od kiedy zniknął John, oboje potrzebowali partnera do rozmowy.

Kobieta delikatnie głaskała go po grzbiecie.

Kuro nigdy wcześniej nie pozwalał człowiekowi dotykać swojego futra, dlatego za pierwszym razem prawie podskoczył, ale zacisnął zęby i po jakimś czasie stwierdził, że to zaskakująco przyjemne.

Shino mieszkała sama w starym domu. Jej opowieści dotyczyły wyłącznie zmarłych i tych, którzy byli daleko.



To historia z czasów, gdy byłam jeszcze ładna i pełna sił.

Ojciec męża dostał zatoru w mózgu i wymagał stałej opieki. Teściowa bała się, co ludzie powiedzą, dlatego nalegała, by teść został w domu. Mąż też powiedział, że tak powinno być. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak potwornie trudne to zadanie, ale zainwestowaliśmy mnóstwo pieniędzy w przystosowanie domu do potrzeb chorego, więc później nie mogliśmy się już wycofać.

Opieka tego rodzaju obciąża obie strony.

Teść był dumnym człowiekiem, który przez lata pracował na kierowniczych stanowiskach, i aż do samego końca nie zaakceptował swojego nowego położenia. Kiedyś ważny i szanowany, teraz wpadał w szal przy najmniejszym stresie. Wymagał, by przychodzić natychmiast, kiedy tylko zawoła, krytykował nawet sposób trzymania łyżeczki podczas karmienia, złościł się, groził, stosował przemoc; wreszcie został zakładnikiem własnej manii prześladowczej.

Uważam, że teściowa i tak świetnie to wszystko znosiła. Ja postanowiłam zrezygnować z pracy w firmie farmaceutycznej, by jej pomagać. Mój ówczesny szef doradzał, żebyśmy skorzystali z ośrodka opieki, i nalegał, bym została, ale mąż nie chciał o tym słyszeć.

Mojego ostatniego dnia w pracy szef powiedział mi: „Część swojego życia musisz zostawić tylko dla siebie”. Dopiero całe lata później zrozumiałam, co miał na myśli.

Teść wymagał opieki o wiele dłużej, niż przewidywałam. Kiedy zmarł, teściowa pokłoniła się przede mną i podziękowała.

Niedługo potem pojawiły się u niej objawy demencji.

Mąż nie bywał już wtedy w tym domu, dlatego sama sprawowałam nad nią opiekę. Zaczęła zachowywać się identycznie jak teść. Tak bardzo nie znosiła jego brutalności i despotyzmu, a sama robiła dokładnie to samo. Na mnie jednej wyładowywała cały swój stres, ale mimo wszystko dalej się nią zajmowałam. Wiek nie pozwalał mi już wrócić do pracy, poza tym miałam coś do udowodnienia mężowi, który chodził do innej kobiety.

Teściowa nie panowała nad emocjami, krzyczała, biła, a pod koniec nie wiedziała już, kim jest, i umarła.

Zostałam ja, wyczerpana do granic, i dom przystosowany dla osób w podeszłym wieku.

Nie mamy dzieci. Może gdybyśmy mieli, wszystko potoczyłoby się inaczej. Mąż pracuje w branży medycznej – lata po całym kraju i daje wykłady na temat geriatry i opieki nad starszymi osobami, choć nie ma najmniejszego pojęcia, jak to wyglądało w jego własnym domu.

– Odszedł do innej... Zostałam sama w pustym domu. – Shino uśmiechnęła się smutno.

– Hm...

Dla Kuro była to opowieść z innego świata, którego nie rozumiał.

– Tak sobie czasami myślę... Jaki w ogóle sens miało to moje życie...? – Podrapała kocura pod brodą. – Ty to masz dobrze. Jesteś wolny.

Owszem, Kuro żył, jak chciał. Dlatego też doskonale wiedział, że wolność ma swoją cenę.

– Masz miejsce do spania, ogrzewanie i jedzenie. Nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc „pusty”.

Shino zmrużyła oczy. Wyglądała na szczęśliwą.

– Co prawda Johna już nie ma, ale... Cieszę się, że ty do mnie przyszedłeś.

„Słowo daję, ta nic, tylko wspominki i czułości...” – pomyślał Kuro i wstał gwałtownie. „Muszę ją nauczyć, jak przetrwać na tym świecie”.

– Chodź ze mną.

Kocur ruszył na spacer z kobietą u boku.

Kocięgo życia uczy się na ulicy. Shino miała już swoje lata, ale na poznawanie nowych rzeczy nigdy nie jest za późno. Kocur tłumaczył jej wszystko z wielką cierpliwością, tak jakby przyuczał kociaka bez żadnego doświadczenia.

Przede wszystkim: woda. Taka, którą można pić, i taka, której absolutnie nie wolno. Woda z kałuż jest brudna, dlatego boli po niej brzuch. Woda

z fontanny w parku wygląda na czystą, ale tak naprawdę krąży w kółko cały czas ta sama, więc od niej też boli. Natomiast takie mniejsze, z których piją też ludzie, są bezpieczne. Wystarczy zlizać krople kapiące z kranika, by ugasić pragnienie.

Następnie Kuro postanowił pokazać Shino, jak się poluje. Potrafiąc samemu zdobyć pożywienie, można przetrwać wszędzie. Poza tym to ekscytujące. „Jak spróbuje polowania, jej życie od razu nabierze kolorów”.

– Poczekaj tutaj.

Kocur wskoczył w trawę, złapał pasikonika i przyniósł go kobiecie. Pomyślał, że najlepiej zacząć od czegoś małego.

Położył zdobycz pod stopami Shino.

– Ojej, aleś ty zdolny!

Wzięła owada, którego Kuro specjalnie złapał, i rzuciła go z powrotem w trawę.

– Żarty sobie stroisz, kobieto? Chcesz się w ogóle uczyć czy nie?!

Zaczął ją strofować, ale Shino głaskała go po grzbiecie, powtarzając: „Ale z ciebie myśliwy! Pięknie!”. Jakoś nie potrafił się gniewać.

„No dobrze. Nie wszystko naraz”.

Ich wspólne poranne spacerunki stały się obowiązkowym punktem dnia.

Podczas jednego z nich Kuro zauważył kobietę, której zapach skądś znał.

– Dzień dobry, Aoi – powitała ją Shino.

– O, dzień dobry.

To pani Kukki, ta, która przyszła po nią, gdy mała się zgubiła. Wyglądała teraz o wiele schludniej i zdrowiej niż wtedy – była zdecydowanie ładniejsza.

– Idziesz do pracy?

– Tak, dzisiaj zaczynam.

– Ojej, to życzę powodzenia.

– Dziękuję. A ten kot... Przygarnęła go pani? Wygląda identycznie jak taki jeden, który czasem do mnie przychodzi.

– To pewnie ten sam, chociaż ostatnio pomieszkuje u mnie.

– Tak? Ty to się umiesz ustawić, spryciarzu!

Aoi kucnęła i wystawiła rękę. Zaciekawiony Kuro odruchowo podszedł i powąchał jej dłoń – nie wiedział, że to pułapka. Kobieta złapała kocura, w mgnieniu oka wywróciła go na grzbiet i zaczęła głaskać po brzuchu. Próbował się wyrwać, jednak szybko skapitulował. Było mu za dobrze.

„Skubana, umie się obchodzić z kotami... Ale przyjemnie...”

– U Kukkī wszystko dobrze? – zapytał, ale dla Aoi brzmiało to jak zadowolone pomiaukiwanie.

– Ja też mam kota. A raczej kotkę, jeszcze małą. Proszę sobie wyobrazić, że jakiś czas temu wykradła się z domu i poszła w odwiedziny do swojej mamy.

– Naprawdę? Jaka mądra!

– Ej, przecież to ja ją tam zaprowadziłem.

Kobiety oczywiście nie zrozumiały jego słów.

„Ech, mniejsza z tym...”

Pożegnali się z Aoi i ruszyli z powrotem do domu. Kuro wolałby obejść jeszcze kawałek swojego terytorium, ale Shino wyglądała już na zmęczoną.

Kiedy dotarli na miejsce, kocur wyczuł w ogrodzie czyjąś obecność.

„Zaraz... może to John? Naprawdę wrócił?”

Kuro popędził ile sił w łapach. Zajrzał do budy, ale Johna w niej nie było.

Za to ktoś leżał na werandzie. Nie pies, tylko młody mężczyzna. Błady, w znoszonym garniturze i z plastikową torebką z konbini. Kuro widział go pierwszy raz, ale nie wyczuwał zagrożenia – nieznajomy pachniał bardzo podobnie do Shino.

– Ryōta?

Słyszając głos starszej pani, mężczyzna otworzył oczy.

– Cześć, ciociu. Dawnośmy się nie widzieli – odpowiedział, nadal leżąc.

– Dawno, to prawda. Co się stało?

– Proszę, jak zadzwonią, powiedz im, że mnie nie ma. I pod żadnym pozorem nie mów nic ojcu – błagał głosem kogoś na skraju wytrzymałości.

– Domyślam się, że masz swoje powody. No dobrze, wchodź.

Shino zaprosiła niespodziewanego gościa do środka.

3

Miałem ambicje, ale niezbyt wygórowane. Chciałem po prostu wieść zwyczajne życie.

Urodziłem się bez wyjątkowych talentów, za to nie musiałem dźwigać żadnego szczególnego brzemienia. Ocen nie zdobywałem przesadnie dobrych, jednak ani razu nie groziło mi powtarzanie klasy. Nie dokonałem nigdy niczego wspaniałego, za co wszyscy by mnie chwalili albo przyznawaliby mi nagrody, ale też nie zrobiłem niczego bardzo złego, za co rodzice musieliby spuścić mi lanie.

W gimnazjum i liceum trenowałem w szkolnej sekcji lekkoatletycznej i co prawda kilka razy startowałem w zawodach, lecz nigdy nie wyszedłem poza poziom mistrzostw prefektury. Nie leżałem w szpitalu przez żadną chorobę, ranę ani kontuzję, moi rodzice nie wzięli rozwodu, nie mieliśmy ogromnych długów, żaden z moich przyjaciół nie popełnił samobójstwa – nic z tych rzeczy.

Żyłem zwyczajnie, tak jak wszyscy podszedłem do egzaminów na studia i dostałem się na uczelnię w rodzinnym mieście. Było mi zupełnie nieźle, ale gdy nadszedł czas znalezienia sobie pracy, nigdzie mnie nie chcieli. Wtedy pierwszy raz zdałem sobie sprawę, że społeczeństwo w ogóle mnie nie potrzebuje.

Nie wiedziałem, gdzie popełniłem błąd. Przecież żyłem tak, jak wszyscy.

Czułem, jakby zniknęła drabina, po której się wspinałem. Wisiałem w powietrzu zupełnie bezwładny. Okazało się, że życie, które uważałem za zwyczajne, leżało w zasięgu jedynie tych wybitnych albo niesamowicie utalentowanych.

Myślałem, że jeśli będę robił to, co wszyscy, stanę się dorosły i samodzielny. W tym tkwił mój błąd? Ludzie mieli na ten temat różne teorie: że to stracone pokolenie, że winny jest kryzys, że młodzi mają za wysokie wymagania. Owszem, poczułbym się lepiej, zwalając winę na otaczający mnie świat, ale nie rozwiązałoby to problemu.

Gdy już naprawdę nie wiedziałem, co robić, ojciec znalazł firmę, w której mogli mnie przyjąć od jesieni⁸. Byłem w szoku, bo nie sądziłem, że mój ojciec w ogóle ma jakiegokolwiek znajomości, a co dopiero takie wystarczające do załatwienia pracy, ale z wdzięcznością skorzystałem z okazji.

⁸ W Japonii większość firm przyjmuje nowych pracowników na wiosnę, po zakończeniu roku akademickiego (który zaczyna się w kwietniu).

Firma działała w branży IT. Nie miałem doświadczenia w programowaniu ani niczym takim, lecz na tamtym etapie byłem gotów zajmować się czymkolwiek.

Na szkoleniu dla nowych pracowników nie posadzono nas jednak przed komputerami, tylko bez żadnego wyjaśnienia kazano nam kopać wielki dół. Pracowałem wspólnie z innymi nowo przyjętymi, dziura miała być głębokości większej niż mój wzrost. Kopaliśmy i kopaliśmy, słuchając wściekłych wrzasków przełożonych. Zanim skończyliśmy, zdążyły mi popękać świeże pęcherze na dłoniach, ale wreszcie osiągnęliśmy cel.

„Dobra robota” – pochwalił nas szef. Staliśmy tam zupełnie wyczerpani. Ciekły nam łzy. Jeszcze nigdy nie czułem takiej satysfakcji. Wtedy pomyślałem, że firma doceniła moją wartość. Dopiero później dowiedziałem się, że wszystkim urządzali takie powitanie.

Od tamtego momentu całkowicie poświęciłem się pracy. Po minimalnym szkoleniu zostałem przydzielony do projektu, który kosztował mnie jeszcze więcej sił niż kopanie dołu. Dawałem z siebie wszystko.

W tamtej firmie bardziej od umiejętności liczyło się zaangażowanie. Jeśli tylko wyrażało się je głośno, to brak kompetencji nie stanowił wielkiego problemu.

Nie było czasu wracać do domu, więc kazano nam nocować w pobliskim hotelu. Tak minęło kilka miesięcy. Potem nie jeździłem już nawet do hotelu, tylko spałem w biurze. Pewnego dnia chciałem zrobić ramen instant w kuchni pracowniczej i nagle zdałem sobie sprawę, że nie wiem jak. Ja też nie rozumiem, jak to możliwe, ale nie miałem pojęcia, co zrobić z tymi wszystkimi torebeczkami, w jakiej kolejności je otworzyć, jak przesypać zawartość do kubka... Czytałem instrukcję, ale nie rozumiałem słów.

Wtedy pojąłem, co się dzieje, i przeszedł mnie zimny dreszcz.

Mój mózg przestawał działać. Zostawiłem otwarty ramen przy czajniku w ciemnej kuchni i wyszedłem, schodząc po schodach awaryjnych, żeby nikt mnie nie zauważył.

Zegarek wskazywał szóstą, ale wszystko wokół wydawało się dziwnie jasne i żółte – może przez to, że tyle czasu wlepiąłem wzrok w ekran monitora. Dzielnica biurowa była wyludniona, czułem się tak, jakbym przypadkiem trafił do zupełnie innego świata.

Dopiero na stacji zdałem sobie sprawę, że była szósta rano, nie po południu.

Wsiadłem w pierwszy lepszy pociąg, usiadłem na wolnym miejscu i zasnąłem. Komórkę gdzieś zostawiłem. Może nawet wyrzuciłem ją podświadomie.

Obudził mnie tłum wsiadający do wagonu. Przypomniałem sobie, że z tej stacji można dojechać do cioci, musiałbym się tylko przesiąść.

Nie odwiedzałem jej od dobrych kilku lat, ale dawniej bardzo mnie lubiła. Zapragnąłem się z nią zobaczyć. Z kimś, kto mnie akceptuje takiego, jaki jestem.



Ryōta spał cały ranek i popołudnie.

„Zupełnie jak kot” – pomyślał Kuro.

– To mój bratanek.

Tak Shino przedstawiła chłopaka kocurowi. Był synem Tasuke, jej starszego brata.

Począwszy od tamtego dnia, Shino przygotowywała posiłki dla dwóch osób (oraz kota) i namawiała Ryōtę, by został u niej dłużej.

– Nie mogę wrócić do domu. Ojciec załatwił mi tę pracę po znajomości, narobiłem wstydu i sobie, i jemu...

Kawałek po kawałku opowiedział, co mu się przydarzyło. „Przecież to obóz pracy, a nie firma!” – złościła się Shino. Historia Ryōty przekraczała zdolności pojmwania Kuro, ale zrozumiał, że chłopak uciekł z jakiegoś okropnego miejsca.

– Zostań tu tak długo, jak chcesz.

Ryōta powoli dochodził do siebie. Shino się cieszyła, ale dla Kuro był to kłopot.

„Słowo daję... Jak odzyska siły, będę się musiał zajmować obojgiem...”

Chłopak bezczelnie machał mu przed oczami jakimś sznurkiem. Kocur wyrwał go bezlitośnie, żeby pokazać, kto tu rządzi.

Shino musiała z natury lubić opiekować się innymi – Kuro odnosił wrażenie, że ma lepszy humor i więcej energii niż wcześniej.

Minęła spora część lata, zanim Ryōta zaczął wychodzić na spacer i pomagać w domu.

– Ty to masz dobrze, jesteś zupełnie wolny – zagadnął chłopak, patrząc przymrużonymi oczami na Kuro, który akurat skądś wrócił i jadł teraz z miski.

– Przecież wy, ludzie, macie tej wolności o wiele więcej.

W przeciwieństwie do kotów mogli jeść wszystko, co chcieli, i żadne miejsca nie były dla nich niedostępne.

Kuro na każdą próbę czułości odpowiadał ciosem, ale Ryōta w ogóle nie rozumiał przekazu. Ciągle starał się złapać i pogłaskać kocura. Za którymś razem, gdy jak zawsze wyrwał mu się z rąk, Kuro zauważył nadchodzącego Chobiego.

– Czemu uciekasz? Przecież to przyjemne, jak człowiek głaska.

„Że też się nie wstydzi mówić takich rzeczy na głos...”

– Sam mu się nadstaw, skoroś taki chętny – odparł Kuro, choć wiedział, że Chobi tego nie zrobi. Nie pozwalał się dotykać nikomu poza swoją panią.

– Sumienny chłopak – ocenił Chobi, patrząc na Ryōtę.

Tamtego dnia bratanek Shino pielął ogród na jej prośbę. Tu i tam wyrosły już spore kopce wyrwanych chwastów.

– Nawet najgorsze typki mają jedną czy dwie zalety.

Kuro i Chobi siedzieli obok siebie, obserwując Ryōtę.

– Ci zbyt sumienni i uczciwi nie potrafią uznać, że coś może być winą innych, o wszystko oskarżają siebie i przez to cierpią.

„Charakteru może trochę mu brakuje, ale na ludziach się zna” – pomyślał Kuro.

– Ten cierpi na pewno – rzucił Kuro i nagle zrozumiał. – Twoja pani też?

– Tak. Są bardzo podobni – powiedział Chobi trochę smutno.



Shino odkryła, że uczenie kogoś potrafi być zaskakująco przyjemne. Do tej pory nie miała ku temu okazji, nikt też nie prosił jej o pomoc.

Co prawda chodziło tylko o obowiązki domowe, ale miło było patrzeć, jak Ryōta robi się coraz lepszy. „Może tak by to wyglądało, gdybym miała syna?”

– wraz z tą myślą codzienne życie nabierało żywszych barw.

Z początku Ryōta nic nie potrafił. Shino uczyła go cierpliwie: najpierw gotowania ryżu, potem mycia okien i wszelkich innych domowych prac. Był pojętym uczniem.

Po trzech miesiącach rozmawiali już zupełnie swobodnie, nie czując żadnego dystansu. Shino po wielu latach przypominała sobie, jak przyjemnie jest siedzieć z kimś przy stole i wymieniać się błahostkami z codziennego życia.

Wreszcie nadszedł dzień, którego się obawiali.

Wczesnie rano rozległ się dzwonek do drzwi. Ktoś wciskał go gwałtownie raz za razem.

– Ryōta! Wiem, że tam jesteś!

Głos należał do Tasuke, starszego brata kobiety.

– To ojciec... – Ryōta, który akurat przygotowywał śniadanie, zamarł w bezruchu. Był blady jak ściana.

– Nic się nie martw.

Shino wzięła głęboki wdech i wyłączyła ogień na kuchence. Czekający w kuchni na posiłek Kuro wstał powoli. Spojrzeli na siebie.

Kocur miał na pysku wypisany jasny przekaz: „Pokaż im”.

Oto zaczynała się walka.

Za drzwiami wejściowymi Shino widziała kilka sylwetek. „Dorosły facet, a przychodzi straszyć starszą panią z całą bandą?” Po raz pierwszy od dawna wzbierało w niej palące doznanie. Coś, czego nie czuła, nawet gdy zostawił ją mąż. Czysty gniew. Kuro nastroszył ogon, jakby jej emocje udzieliły się także jemu.

„Tak, Kuro. Idziemy bronić naszego terytorium”.

– Ryōta! Wychodź!

Tasuke walił pięścią w drzwi. Shino otworzyła je, nic sobie z tego nie robiąc. Stał przed nią starszy brat w towarzystwie mężczyzn w garniturach.

– Witaj, Tasuke. Dawnośmy się nie widzieli. – Mówiła cicho i spokojnie.

– Gdzie Ryōta?

– Bądź tak dobry i odejść – ucięła Shino.

Mężczyźnie zrzędnęła mina.

– Dawaj go tu.

– Widzę, że nadal nie nauczyłeś się dobrych manier.

Wtedy chłopak pojawił się za ciotką.

– Tato, przestań!

„Nie po to ja im otworzyłam, żebyś teraz wychodził...”

Na widok syna Tasuke odzyskał rezon.

– Ryōta! Wiesz, ile wstydu się przez ciebie najadłem?

– Yyy... – Kiedy Ryōta stanął przed ojcem, uleciała z niego cała odwaga.

– Co jest dla ciebie ważniejsze, twoja reputacja czy życie syna? – Głos Shino nadal był pełen spokoju.

– Co za bzdury! Nie histeryzuj! – Tasuke nawet nie próbował ukryć wściekłości.

– Ja według ciebie histeryzuję? – Kobieta zrobiła pauzę, wbijając wzrok w brata. – Powtarzam: odejść stąd.

W oczach Tasuke malowało się zdumienie. Minęło wiele czasu, od kiedy Shino opuściła dom rodzinny. Nie była już słabą, uległą dziewczyną, którą pamiętał.

Jeden z mężczyzn złapał Shino za ramię.

Powietrze przeszył przeraźliwy wrzask. To Kuro ostrzegał intruzów, dając porażający wyraz swej dzikiej siły.

Tasuke i jego towarzysze w czarnych garniturach odruchowo cofnęli się o krok.

– Śmiechu warte – skwitowała Shino, strącając dłoń mężczyzny. – Banda dorosłych mężczyzn boi się jednego kota.

Tasuke był wyraźnie zdezorientowany.

– Co chcesz zrobić z moim synem?

– Nic. Ja tylko czekam.

Patrzyli na siebie wściekle, dopóki mężczyzna nie uciekł wzrokiem.

– Ja tu jeszcze wrócę.

– Następnym razem zadzwonię na policję – rzuciła do odchodzących.

Tasuke i reszta zniknęli. Ryōta pokłonił się głęboko przed Shino.

– Ciociu... Dziękuję... – wyjąkał ze łzami w oczach.

Kuro łupnął go łapą, zupełnie jakby mówił chłopakowi, żeby wziął się w garść.

– No, pora na śniadanie – zarządziła Shino tak wesoło, jak tylko była w stanie, i rozluźniła zaciśnięte do białości pięści.

4

Pora roku znów się zmieniła – nadeszła zima.

Kuro obudził się wcześniej niż zwykle. Przeszedł po brzuchu śpiącej Shino i ruszył do łazienki. Kobieta mruknęła przez sen.

Słabe światło świtu było idealne do polowania, ale w takie zimno kocur nie miał na to najmniejszej ochoty. W łazience, gdzie stała kuweta, panował co prawda chłód, ale i tak było nieporównywalnie cieplej niż na zewnątrz. Kuro pokręcił głową.

„O, nie, nie. Zaczynam myśleć jak kanapowiec. Kto to widział, żeby spać pod kocem? Tylko do końca zimy. Potem wracam na zewnątrz”.

Gdy nadeszły chłody, Shino przekonała kota, by na stałe zamieszkał w domu. Miała teraz dwóch darmozjadów pod swoim dachem i wstąpiła w nią nowa energia.

Na przykład za wszelką cenę chciała umyć Kuro. Z początku uciekał, ale pewnego razu zaskoczyła go, kiedy ułożył się już do spania, i wpakowała do

wanny. Po pewnym czasie kocur stwierdził, że moczenie się w ciepłej wodzie to całkiem przyjemny zwyczaj i szkoda, by tylko ludzie się nim cieszyli.

Załatwił potrzebę i zgarnął żwirek tylnymi łapami. Ta cała kuweta to też niegłupi pomysł.

W kuchni paliło się światło. Przygotowanie śniadania należało do obowiązków Ryōty. Z początku wszystko wychodziło mu przesolone i dość okropne, ale ostatnimi czasy nawet się wyrobił. Shino uwolniła się od przymusu wczesnego wstawania i często mówiła, że to najcudowniejsza rzecz pod słońcem, kiedy czeka na człowieka gotowe śniadanie.

Kuro wracał do spania, gdy nagle poczuł czyjąś aurę. Znał ją.

– John?

Wymówił imię starego przyjaciela zupełnie odruchowo. Wstyd przyznać, lecz przez ostatnie miesiące myślał o nim coraz rzadziej.

– John! – miauknął głośno.

Wyszedł na zewnątrz drzwiczkami dla kotów. Obiegł dom, nie zważając na szczypiący mróz zimowego poranka. Chmury wisiały nisko, zsyłając na ziemię multum białych płatków.

Padał śnieg.

Kuro przypomniał sobie, że John bardzo lubił, kiedy z nieba padał biały puch.

– John! Jesteś tu?

Biegał po ogrodzie, nawołując.

– Co tam, Kuro? Zimno, nie? – Ryōta wyszedł z kuchni grubo ubrany.

– Patrz – miauknął do niego kocur, spoglądając w górę.

– O, śnieg. – Chłopak też uniósł głowę.

– Jeśli wróci, to właśnie w taki dzień jak dziś.

Kuro ruszył przed siebie.

– Ej, a ty dokąd? Śniadanie jeszcze niegotowe!

Kocur biegł ile sił w łapach przez mroźne powietrze. Śnieg padał wielkimi płatkami.

– Kuro, czekaj!

Usłyszał za sobą komicznie głośne kroki – łatwo było się domyślić, że Ryōta pospieszył za nim.

– Chodź! Może i twoje życzenie się spełni!

Kuro pędził, nie zważając na granice terytoriów. Wbiegł stromą uliczką, wspiął się na barierkę i skoczył na murek. Stamtąd na inny, odbijając się od

automatu z napojami. W górę, jak najwyżej. Teraz nie liczyło się, do kogo należy dany teren.

Czuł, że John go woła. Silny wiatr niósł ze sobą śnieg. Kocur gnał, z całych sił uderzając łapami o asfalt.

– John!

Z prowadzącej w górę drogi dobiegł inny koci głos wołający to samo imię.

– Chobi!

Biegli teraz razem. Ruszyły poranne pociągi, z wiaduktu dochodził ich potężny stukot.

Ten dźwięk dodał im sił. Kuro i Chobi pędzili jeden obok drugiego na szczyt wzniesienia.

Dojrżeli drewniany budynek, w którym mieszkały Mimi i Reina. W ich mieszkaniu paliło się światło. Reina pewnie znowu malowała przez całą noc.

Mknęli, przeganiając śnieg. Teraz już z górki. Przez teren świątyni, potem uliczkami rozciągającego się za nią osiedla. Wciąż dalej i dalej.

Gdy mijali dom Kukki i Aoi, Kuro zauważył nową skrzynkę na listy. Była udekorowana rysunkiem z liśćmi klonu i kotem.

– Patrz, narysowała Kukki! – zawołał Chobi.

„Przecież widzę, nie musisz mówić...”

Biegli dalej. Aura Johna wydawała się coraz bliższa. Przed nimi wyrosły wysokie, strome schody.

– Nie żartujcie nawet, że na te schody też! – Gdzieś w tyle usłyszeli zbolący głos Ryōty.

– John! – zawołał Kuro.

– Już niedaleko! – Chobi też to czuł.

Z determinacją ruszyli po schodach i w końcu dotarli do najwyższego punktu w okolicy. Na szczycie mieścił się mały park. Usiedli na ławce.

Płatki śniegu robiły się coraz większe i liczniejsze.

– Ale sypie...

– No, zostaną całe zaspasy.

Siedzieli przez chwilę obok siebie, patrząc na przejeżdżający w oddali pociąg. Rozciągające się w dole miasto powoli budziło się do życia, jego puls nabierał miarowego rytmu.

Ryōta także dotarł na miejsce, jego ramiona unosiły się i opadały ciężko.

– Kuro... Po coś... tu biegł?

Ledwo łapał oddech. „Taki młody, a taki słaby, aż żal patrzeć...”

Chobi spojrział w drugą stronę. Rozległo się stukanie obcasów.

– Chobi!

Zobaczyli krótko ostrzyżoną kobietę w grubym płaszczu. Według Kuro wyglądała w nim trochę jak duży kot.

– To moja ukochana – ogłosił Chobi z dumą.

Na widok Ryōty kobieta zrobiła zdziwioną minę. Pewnie nie spodziewała się spotkać tu innego człowieka.

– Cześć, ja... jestem właścicielem tego tutaj... – On też był wyraźnie skołowany.

– Moją panią jest Shino, a ja jestem jej kotem. Nie twoim – Kuro natychmiast go poprawił, ale chłopak nie zwracał uwagi – patrzył jak urzeczony na panią Chobiego. Ta wyciągnęła ręce do swojego pupila, a on wskoczył jej w ramiona.

– Zdziwiłam się, że tak nagle wybiegł z domu.

– O tak, ja też, jak Kuro... Ha, ha, ha! – roześmiał się trochę głupkowato.

Przyglądali się sobie.

– To pierwszy śnieg tej zimy, prawda?

Kobieta przerwała ciszę, a Ryōta z radością odpowiedział.

Aura Johna zniknęła. Kuro zadrżał z zimna.

– Wiesz, Kuro, moje życzenie chyba właśnie się spełniło – wyznał Chobi.

– Jak to?

Kocur powiódł za wzrokiem kompana, który patrzył na swoją panią. Jej twarz promieniała. Coś w tej minie przywodziło mu na myśl Shino.

Wtedy zrozumiał. „No tak. Przecież moje też, i to już dawno”.

W tej samej chwili nabrał pewności, że już nigdy nie spotka Johna.

– Dziękuję, przyjacielu – wyszeptał Kuro w kierunku krainy ponad chmurami.

EPILOG

Długa zima dobiegła końca. Nadeszła pora kwitnienia wiśni.

Szłam aleją nad brzegiem rzeki pod okwieconymi gałęziami, niosąc transporter z Chobim w środku. Bładoróżowe kwiaty przesłaniały wszystko niczym gęsta mgła.

Taniec płatków zdradzał zazwyczaj niewidoczne ruchy powietrza.

„Nic nie mogłaś poradzić, przecież uczuć nie widać gołym okiem”.

Tak mi powiedział mężczyzna, który szedł teraz obok mnie. Te słowa przyniosły mi wielką ulgę.

Do tamtej pory byłam przekonana, że nie rozumiem emocji innych, bo ze mną coś jest nie tak. Że ranię ludzi wokół mnie, ponieważ nie widzę tego, co wszyscy dostrzegają bez problemu.

Nie wiedziałam nawet, co tak naprawdę sama czuję. Miałabym zauważyć, ale udawać, że wcale o niczym nie wiem? Po prostu na siłę doszukiwałam się własnej winy.

Pojawił się ktoś, kto mi to wszystko wyjaśnił. Poznałam go dzięki Chobiemu.

Wiatr przywiał płatki w naszą stronę.

– Pięknie, prawda, Chobi?

Miauknął w odpowiedzi z wnętrza transportera.

Począwszy od pierwszego spotkania tamtego zimowego poranka w parku, widywaliśmy się co jakiś czas i rozmawialiśmy. Chciałabym, żebyśmy powoli poznawali się coraz lepiej.

Arogancko myślałam, że tamtego deszczowego dnia uratowałam Chobiego – a to on uratował mnie.



– Halo, Mimi! Złaz! – wołał Masato do usadowionej na szczycie regału kotki.

Po kontuzji tylnej łapy nie było już śladu, Mimi znów mogła biegać i wspinać się, gdzie tylko chciała.

– Nie baw się, tylko kończ to pakowanie – upomniałam go, zawijając naczynia w gazety.

– Reina, może trochę szacunku do studenta z większym stażem? – odparł Masato, mimo wszystko grzecznie zabierając się do wiązania czasopism

sznurkiem.

Jakoś przeszłam egzaminy i z rocznym opóźnieniem miałam zacząć studia na akademii. Postanowiłam dojeżdżać z domu rodzinnego, dlatego musiałam się pożegnać z mieszkaniem.

– Czytasz takie rzeczy? W życiu bym nie powiedział – rzucił, obwiązując czasopisma z czterokadrowymi komiksami.

– Jedną serię rysuje moja koleżanka, to dlatego.

– Znasz zawodową rysowniczkę? Ale super!

Mówiłam o Aoi, właścicielce Kukki. Jakiś czas temu zaczęła publikować mangę o kotach, równocześnie pracując na etacie. Od kiedy przysłała w odwiedziny do Mimi, szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Czasem przychodziła razem z Kukki, która miała już ponad rok i była damą pełną gębą.

Przez otwarte okno wpadło kilka niesionych wiatrem płatków wiśni, a mnie ogarnął sentymentalny nastrój.

Wyruszałam na wędrowkę po zupełnie nowym świecie.



Siedziałem obok mojej pani w mieszkaniu. Oglądaliśmy niebo w kolorze głębokiej ultramaryny. Wiatr wiał ze świstem, cienkie chmury przepływały niezwykle szybko.

Głaskała mnie swoimi smukłymi palcami.

– Wiesz co, Chobi? – zapytała.

– Tak? – miauknąłem.

Nie powiedziała już nic więcej, ale jej emocje i tak do mnie dotarły. Oboje czuliśmy to samo.

„Kocham ten świat” – pomyślałem z przekonaniem.

Uśmiechnęła się. Spojrzałem w górę na jej rozpromienioną twarz. Moja myśl dotarła także do niej.

Sądzę, że darzyła świat tym samym uczuciem.



Redaktor inicjująca

Anna Świerczyńska

Redakcja

Agnieszka Stęplewska

Korekta

Ewa Nowicka

Łamanie

Paweł Noszkiewicz

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków

tel. 12-663-23-80

Contents

1. [Rozdział I](#)
 1. [Morze słów](#)
2. [Rozdział II](#)
 1. [Kwiaty początku](#)
3. [Rozdział III](#)
 1. [Niebo i sen](#)
4. [Rozdział IV](#)
 1. [Ciepło świata](#)
5. [Epilog](#)